

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VIII

Warszawa, 17 lutego 1952 r.

Nr 7 (325)

PROJEKT KONSTYTUCJI

PROJEKT KONSTYTUCJI

JAK to było do przewidzenia, coraz bardziej wzrasta zainteresowanie ogółu ogłoszonym w dniu 27 stycznia projektem Konstytucji. Jest to zrozumiałe wobec zasadniczej ważności tego aktu, który stanowi tak bardzo długi etap w życiu Rzeczypospolitej.

We wstępie poprzedzającym tekst projektu czytamy: „W wyniku rewolucyjnych walk i przemian obalona została władza kapitalistów i obszarów, utrwaliło się państwo demokracji ludowej, kształtuje i umacnia nowy ustroj społeczny, odpowiadający interesom i dążeniom najszerzych mas ludowych. Zasady prawne tego ustroju ustanawia Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.”

Istotą więc Konstytucji jest ustalenie zasad prawnych nowego ustroju, tworzonego od roku 1944.

W przeciwieństwie do konstytucji państw kapitalistycznych projekt Konstytucji nie ma jednak jedynie na celu utrwalenia i zabezpieczenia przed niepożądanymi zmianami tego co w tej chwili istnieje. Jego założenia są dynamiczno-programowe.

Konstytucja ma być, co także wyraźnie podkreślono we wstępie, ustawą zasadniczą, „którą naród polski i wszystkie organy władzy polskiego ludu pracującego kierować się winny w celu:

umacniania państwa ludowego jako podstawowej siły, zapewniającej najpełniejszy rozkwit Narodu Polskiego, jego niepodległość i suwerenność,

przyspieszenia rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Ojczyzny oraz wzrostu jej sił,

pogłębiania uczuć patriotycznych, jedności i zwartości Narodu Polskiego w walce o dalsze polepszenie stosunków społecznych, o całkowite zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka o urzeczywistnienie wielkich idei socjalizmu,

zadecyśniania przyjaźni i współpracy między narodami, opartej na sojuszu i braterstwie, które łączą dziś Naród Polski z milującymi pokoj narodami świata w dążeniu do wspólnego celu: uniemożliwienia agresji i utrwalenia pokoju światowego”.

PODSTAWY USTROJU

PIERWSZĄ sprawą, najbardziej zasadniczą, występującą w naszym współczesnym życiu społecznym — to powiązanie niepodległości i suwerenności Narodu z ludowym charakterem państwa. Sprawa ta znalazła pełny wyraz w projekcie Konstytucji „umocnienie państwa ludowego, jako podstawowej siły, zapewniającej najpełniejszy rozkwit Narodu Polskiego, jego suwerenności”. A zatem niepodległość i suwerenność są największymi wartościami Narodu, jako najwyższy cel, który jest realizowany przez umacnianie państwa ludowego. W ten sposób zo-

stał wyrażony duch Konstytucji jej podstawowa idea, która musi przenikać całe życie społeczne i stanowić decydujący wskaźnik dla interpretacji poszczególnych postanowień Konstytucji.

Państwo ludowe, to państwo które rozwiązało, względnie rozwiązuje problem społeczny, to państwo oparte o socjalistyczne reformy społeczno-gospodarcze, w którym lud pracujący miast i wsi staje się „rzeczywistym gospodarzem swego kraju”.

Powiązanie niepodległości i suwerenności narodu z umacnianiem państwa ludowego znajduje swe uzasadnienie przede wszystkim w naszej historii, która uczy, jak tragiczne były skutki nierozwiązania we właściwym czasie problemu społecznego, uczy, jak wyraźny był związek między utratą niepodległości a uciemieniem warstwy chłopskiej i wzrastającej w liczbę od początków XIX wieku klasy robotniczej. Równocześnie historia ostatnich dziesiątków lat wskazuje jak wzmagaly się siły narodu w miarę wyzwalań się mas ludowych, a w końcu ostatnie 7 lat to świadectwo niebywałego tempa podnoszenia się Narodu ze straszliwego upadku, osiągnięte właśnie dzięki olbrzymim sukcesom na drodze prowadzącej do wyzwolenia mas, to znaczy do stosunków społecznych w pełni socjalistycznych.

Wyzwalanie mas ludowych to nie jednorazowy zabieg, to proces rozwijający się poprzez etapy. Można je różnie klasyfikować, wydaje się jednak, że pierwszy etap to dokonanie zasadniczych reform ustrojowych, to uspołecznienie przynajmniej podstawowych środków produkcji, to wprowadzenie systemu gospodarki planowej, to wejście na drogę uprzemysłowienia.

ROLA PRACY

NASTĘPNE centralne zagadnienie naszego współczesnego życia znalazło swój wyraz w artykule 1,2 projektu: „W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi”.

To krótkie sformułowanie zawiera głęboką treść. Proklamuje, że dzisiejsza Polska jest państwem ludzi pracy; praca bowiem stanowi legitymację zaszczytnej roli gospodarza kraju.

Na pytanie czym jest praca w nowym naszym ustroju, odpowiedź brzmi: (art. 14, 1, 1-sze zdanie): „Praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela”.

Ze jest prawem znaczy, że każdy może żądać, by został zatrudniony, o czym wyraźnie mówi następnie art. 58, 1. Tworzy się więc warunki, w których bezrobocie, tak bardzo dokuczliwe i nekające świat pracy przed krótkim 1939, w wyniku rewolucyjnych przemian nie może już w przyszłości istnieć: (art. 58, 2).

Ale praca obok znaczenia indywidualnego, zabezpieczenia bytu jednostki,

posiada decydujące znaczenie dla ogółu. W jej wykonywaniu i wynikach cała Rzeczpospolita jest jak najbardziej zainteresowana. Jest więc i musi być obowiązkiem (art. 14, 1): „Pracą swoją, przestrzeganiem dyscypliny pracy, współzawodnictwa pracy i doskonaleniem jej metod lud pracujący miast i wsi wzmacnia potęgę i siły Ojczyzny, podnosi dobrobyt Narodu i przyspiesza całkowite urzeczywistnienie ustroju socjalistycznego”.

Pracy więc można od każdego wymagać, przy czym (art. 14, 3): „Polska Rzeczpospolita Ludowa coraz pełniej wprowadza w życie zasadę: od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy”.

Praca jest wreszcie sprawą honoru obywatela, dlatego słusznym jest, by tylko trud i praca uzasadniały zaszczytne wyróżnienia. To też powiada art. 14, 2: „Przodownicy pracy otoczeni są powszechnym szacunkiem narodu”.

Decydującą różnicę między Rzeczpospolitą Ludową, a dawnym stanem rzeczy stanowi stwierdzenie, że gospodarzem kraju jest świat pracy.

Powszechnie wiadomo, że w Rzeczypospolitej do końca wieku XVIII uważano pracę za rzecz niegodną członków klasy rządzącej. Pewne zajęcia pociągały nawet za sobą utratę szlachectwa. Inne, na przykład medycyna, architektura, sztuka itp. uważane były za niezbyt zaszczytne, przystojne raczej mieszczańcom, a co najwyżej tolerowane, gdy zajmowała się nimi biedna szlachta, ograniczona zresztą poważnie w prawach politycznych.

Usiłowanie wprowadzenia choć częściowej pod tym względem zmiany przez Sejm Czteroletni, w ustawie o Miastach i podkreśleniu roli ludu wiejskiego i znaczenia jego pracy dla kraju w art. IV Konstytucji 3-go Maja, nie zmieniły w istocie niczego wobec powstania Targowicy i ostatecznego upadku państwa.

Nie wspomina się o pracy w konstytucjach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Nie pracy, lecz własności przyznają one prawo korzystania z uprawnień politycznych.

Mimo tak bardzo zmienionych w międzyczasie stosunków tylko nie wiele i ubocznie wspomina o pracy art. 102 Konstytucji z roku 1921.

UDZIAŁ REPREZENTACJI LUDU W SPRAWOWANIU WŁADZY

Zasady, że władza należy do ludu pracującego wypływają ważne konsekwencje praktyczne. Mówi o nich nie tylko artykuł 15 i następne (Sejm), ale szczególnie wymowne w tym względzie są przepisy rozdziału 5 o terenowych organach władzy państwowej. Projekt Konstytucji postanawia, że na wszelkich szczeblach podziału administracyjnego Państwa władzę wykonują rady narodowe. art. 34). Wyrażają one (art. 45): „wolę ludu pracującego o-

raz rozwijają jego inicjatywę twórczą i aktywność w celu pomnożenia sił, dobrobytu i kultury narodu”.

Poza wymienionymi w szeregu artykułów zadaniami: „Rady Narodowe umacniają więź władzy państwowej z ludem pracującym miast i wsi, przyciągając coraz szersze rzesze ludzi pracy do udziału w rządzeniu państwem” (art. 36)

Stały udział obywateli w sprawach publicznych jest rzeczą nieodzowną, aby zapewnić stały rozwój nowych form ustrojowych. Sprzyja temu krótki okres urzędowania rad, określony na lat 3 (art. 14, 2).

Projekt Konstytucji musiał z konieczności ograniczyć się tutaj do spraw zasadniczych i określenia podstawowych zadań rad. Natomiast dokładne normowanie pozostawia się w ramach określonych Konstytucją zwykłego ustawodawstwu (art. 45).

PRAWORZĄDNOŚĆ

W projekcie Konstytucji problem praworządności jest jak najbardziej brany pod uwagę. Wspomniano o nim już na wstępie przy omawianiu celów ustawy konstytucyjnej. Stanowczy pod tym względem jest art. 4: „2. Ścisłe przestrzeganie praw Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest podstawowym obowiązkiem każdego organu państwa i każdego obywatela 3. Wszystkie organy władzy i administracji państwowej działają na podstawie przepisów prawa”.

Osobno przypomniemy, że obowiązek przestrzegania praworządności ludowej ciąży także na radach narodowych (art. 39).

Należy to również do zakresu działania prokuratora generalnego i podległych mu organów.

Musimy pamiętać (art. 54, 1), że: Prokurator Generalny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej strzeże praworządności ludowej, czuwa nad ochroną mienia społecznego, zabezpiecza poszanowanie praw obywateli”.

Naruszenie zatem czy ograniczenie czyichś praw publicznych, lub prywatnych, przyznanych obywatelom przez ustawodawstwo Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uzasadnia wkroczenie prokuratora. Z projektu nie wynika, że może to nastąpić tylko na żądanie osoby, która czuje się pokrzywdzoną. Praworządność Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dąży z natury rzeczy do utrwalenia porządku, równocześnie zapewniając obywatelom jak najdalej idącą ochronę ich praw.

Naturalnie, to silne podkreślenie obowiązków przestrzegania przepisów prawnych przez wszystkie organy władzy państwowej musiało znaleźć i odpowiednik w obowiązkach obywateli. Wspomniano o tym już w przytoczonym art. 4.

PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

W sposób pod wieloma względami nowy mówi o tym art. 76: „Obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest obowiązany przestrzegać przepisów Konstytucji i ustaw oraz socjalistyczne,

W NUMERZE m. in.:

JÓZEF PIEPER — O św. Tomaszu z Akwinu (II)
MATEUSZ T. MILEWSKI — Chleba naszego...
JAN POGORSKI—Na Malajach wojna
TADEUSZ KORDYASZ — Pomysłowiec
ANDRZEJ NARBIECKI—„Szkolce literackie” France'a
LESZEK PROROK — O metodzie biograficznej
WANDA WEJTKO — Sprawa krytyki teatralnej

dyscypliny pracy, szanować zasady współżycia społecznego, wypełniać sumiennie obowiązki wobec państwa”.

Z faktu, że Rzeczpospolita Ludowa jest państwem ludzi pracy, wynika że zachowanie pokoju jest rzeczą zasadniczej wagi, wojna bowiem hamuje rozwój produkcji i niszczy wyniki pracy.

W zakończeniu wstępu do projektu poświęcono wiele uwagi problemowi pokoju.

Zagadnienie praw i obowiązków obywateli, o których mówi rozdział 7, zostało ujęte w projekcie w sposób podstawowy. Natomiast, jak z tytułu rozdz. 7 widzimy, nie dążono do ich pełnego wyliczenia. Inaczej przecież, aniżeli w państwach burżuazyjnych przedstawia się ten problem w ustroju, który likwiduje klasy antagonistyczne, jest oparty na sojuszu klasy robotniczej z chłopstwem pracującym, i w którym władza rzeczywiście należy do ludu pracującego miast i wsi.

Ze zresztą występ różnicie praw nie uważa się za ostateczne, to wynika i z brzmienia art. 57: „Polska Rzeczpospolita Ludowa, utrwalając i pomnażając dobro ludu pracującego, umacnia i rozszerza prawa i wolności obywateli”.

Nie trzeba tłumaczyć, że prawa i obowiązki muszą pozostawać ze sobą w ścisłym związku. Przy tym należy pamiętać, że także i w tym wypadku projekt ogranicza się częściowo do nadania sankcji konstytucyjnej powstałemu już i ustalonymu stanowi rzeczy, poza wytknięciem i wskazaniem obowiązków zasad programowych na przyszłość.

RÓWNOŚĆ OBYWATELSKA

POMIJAJĄC z konieczności szereg postanowień szczegółowych, musimy jednak zwrócić uwagę na niektóre ściśle związane z troską o zapewnienie rzeczywistej, nie tylko formalnej prawnej jak w państwach kapitalistycznych, równości obywateli. Stanowi ona przecież nieodzowny postulat realizowania ustroju.

Dążenie do zapewnienia rzeczywistej, demokratycznej, równości było powodem stanowczego podkreślenia (art. 69, 1) równości wszystkich obywateli bez różnicy narodowości, rasy i wyznania, a zakończone postanowieniem: „Naruszenie tej zasady przez jakiegokolwiek bezpośrednio lub pośrednio uprzywilejowanie, albo ograniczenie w prawach ze względu na narodowość, rasę, czy wyznanie podlega karze”.

Logiczne uzupełnienie zawiera p. 2 tegoż artykułu „Szerzenie nienawiści lub pogardy, wywoływanie waśni, albo poniżanie człowieka ze względu na różnicę narodowości, rasy, czy wyznania jest zakazane”.

Ten ostatni ustęp pozostaje w związku z zrozumieniem, że pragnąc koniecznego spokoju na zewnątrz i dążąc do pokoju między narodami, musimy tak samo walczyć o pokój, przeciwstawiać się stanowczo w wszelkim dyfamacyjnej natury rasowej lub wyznaniowej.

W tak zasadniczym akcie ustawodawczym, jakim będzie uchwalenie

(Dokończenie na str. 2)

POROZMAWIAJMY

Przewielebny Księżę

TEMAT jest, co prawda, trochę przebrzmiały, a list Księdza także (przynajmniej ze skruchą) przeleżał dość długo na biurku redakcyjnym. Zagadnienie jest jednak bardzo istotne i chociaż minęło już trzy miesiące od ogłoszenia w „Dziś i Jutro” artykułu o Piusie X, warto do niego wrócić.

W istocie bowiem, o ile dobrze rozumiem intencje, które kierowały Księdzem w chwili, gdy się do nas ze swymi uwagami zwrócił, nie chodziło Księdzu specjalnie o spór historyczny wokół postaci światobliwego Papieża. Chodziło raczej o podejście do tematu.

Czytamy w Jego liście — „Wasze stanowisko jest zupełnie nowe. Nie spotkałem dotąd takiego naświetlenia, jakkolwiek znam kilka poważnych prac naukowych, o czasach Piusa X”.

Niepokoi się jednak nasz korespondent, czyśmy nie przeholowali w ambicjach do oryginalności i nowości. Pyta się więc „skąd ta pewność sądu”, skąd to się bierze, że „młoda grupa publicystów występuje z argumentami, poglądami, dotąd jakoś nieznanymi poważnym polskim uczonym katolickim?”. Uwagi te kończy Ksiądz w sposób sceptyczny, choć niewątpliwie dla nas w pewnej mierze pochlebny — „To, co przeczytałem, wydaje się bardzo logiczne i przekonujące, fakty podane są do sprawdzenia, a częściowo powszechnie znane. Jednak wnioski są dla mnie niespodziewane — jak im wierzyć, jeśli za nimi stoi tylko autorytet Waszego pisma?”

Tak już jest na świecie, mimo znanego powiedzenia datującego się ponoć od króla Dawida, że nie ma nic nowego pod słońcem, zdarza się czasami, iż trzeba coś nowego odkryć, stwierdzić coś, co dotąd nie było poruszane. Tak się stało z problemem postawionym w artykule o Piusie X Polska historiologia kościelna nie jest, niestety, bogata. Mało interesowały nas dzieła analizujące szczegółowo i szczerze losy poszczególnych postaci i ruchów wybijających się w katolicyzmie danej epoki! Interesowały nas w Polsce raczej prace, które podejmowały dzieło bronięcia autorytetu, chwaliły Kościół.

Niewątpliwie dzieła apologetyczne były katolicyzmowi zawsze potrzebne. Mamy wśród nich wiele naprawdę niezmiernie wartościowych i dla sprawy katolicyzmu niezwykle zasłużonych. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że obowiązek ten nie zwalnia nas z konieczności znania prawdy o dziejach katolicyzmu. Uważamy, że nie wolno się zadowalać wydawaniem dzieł na chwałę Kościoła, ale również trzeba wyzbyć się obawy konfrontowania tej chwały z prawdą o ludziach i o czynach, które się na nią składały.

MY WSZYSCY uważamy, że Pius X był człowiekiem, który całym swym życiem w całej pełni zasłużył na wyniesienie Go na ołtarze. Artykuł ogłoszony w „Dziś i Jutro” podkreślał i uwypuklał wielkie cnoty tego męża Kościoła. Czy była racja, by kryć Jego błędy, jeśli je popełniał? Oczywiście, że nie. Skąd o nich wiedzieliśmy. — Po prostu ze studiów nad historią tej epoki, z dzieł ludzi, którzy sumiennie zbadali, w oparciu o niekwestionowane źródła, jej dzieje. Cytowaliśmy pracę p. Danette, znanego współczesnego uczonego, którego dzieło było drobiazgowo analizowane przez krytyków dużej klasy. Mamy pełne prawo ufać w jego bezstronny sąd.

Dlaczego oparliśmy się na tym autorze, a nie na wielu innych? Niewątpliwie dlatego, że poglądy jego zbiegały się z naszymi. Sygnalizowaliśmy wielokrotnie niebezpieczeństwo konserwatywnej orientacji wśród katolików, orientacji, niestety, spotykanej nie tylko w Polsce. Pewne niebezpieczeństwa tej orientacji na odcinku spraw społecznych odkrywamy i w pontyfikacie Piusa X.

Z drugiej strony sygnalizowaliśmy również niebezpieczeństwa integralizmu, który jest na odcinku myśli katolickiej — konsekwencją konserwatywnego myślenia. Integralizm właśnie sprzeciwia się obiektywnej analizie dziejów Kościoła w imię obrony jego pojętego prestiżu.

Znalazłem, proszę Księdza, wertując jeden z ostatnich numerów „ESPRIIT” ciekawą notatkę, polemizującą z autorem jednego z nowych życiorysów Piusa X. Notatkę tę podpisał Henri Marrou, światowej sławy patrysta i historyk katolicki. Wydaje mi się, że ilustruje on doskonale naszą dyskusję. Oto ona.

„Historia ma również swe wymagania, o których trzeba przypominać. Z okazji nowej książki p. G. Buraud — „Pius X, Papież Jedności” stwierdzmy wyraźnie, że nie wolno pod pretekstem czczenia pamięci świętego człowieka próbować usprawiedliwiać to, co nie jest do usprawiedliwienia. Beatyfikacja Piusa X w żadnym razie nie może prowadzić do równoległej beatyfikacji kardynała Mery del Val, nie może prowadzić do apologii integralizmu”.

„Walka (niewątpliwie konieczna i trudna) przeciw modernizmowi posłużyła za pretekst do ciemnych, śledzących machinacji, prowadzonych w atmosferze oszczerstw, urągając przykazaniem miłości bliźniego w sposób dla sprawy katolickiej wyjątkowo bolesny. Pius X, historia to stwierdza z bólem, pozwolił donosić donosić okrywać się jego autorytetem, nawet obdarzał ich swym błogosławieństwem. Czytamy na stronie 121 tej pracy: „Nie można Go czynić odpowiedzialnym za nadgorliwość, za błędy, które zostały BYĆ MOŻE popełnione ZDALA OD NIEGO”. Słowa przeze mnie podkreślone są po prostu niezbędne, podczas gdy stwierdzenie prawdy nie nam nie przeszkadza czcić pamięć człowieka świętego, który potrafił na tronie Piotrowym zachować cnoty i prostotę wiejskiego proboszcza. Nie przeszkadza to nam również ocenić zakres jego odpowiedzialności za popełnione, wbrew jego intencjom, ale pod osłoną jego nazwiska zło czyny. Czy trzeba przypominać, że na przykład bulla kanonizacyjna świętego papieża Celestyna V, głośnego pustelnika Piotra de Morrone, nie obawiała się stwierdzić, że „mało nadawał się on do sprawowania rządów nad Kościołem Powszechnym” — „ad regimem Universalis Ecclesiae inexpertus”, a jednocześnie przedstawiała ona świętego czci wszystkich włernych”.

Tyle Marrou. Czy nie sądzi Ksiądz, że, poruszając inny problem z życia Piusa X, niż ten, który przedstawiono w „Dziś i Jutro”, myśli i argumentacja obu autorów zbiega się w sposób charakterystyczny? Najwidoczniej stanowisko nasze nie jest tak bardzo niespotykane i niepokojące. Chodzi tylko o to, by mieć odwagę prawdziwie historycznej spojrzeć w oczy. To jedyna droga, by uczynić z niej „nauczycielkę życia”.

Dziękujemy za przesłane uwagi i zapraszamy do dalszej dyskusji.

W. K.

PROJEKT KONSTYTUCJI

Konstytucji, nie ma elementów nie ważnych. Dlatego nie jest zadaniem niniejszego artykułu omówić całość uwag nasuwających się w związku z projektem. Tak ważne zagadnienie jak sprawa obronności kraju, zagadnienie rodziny, problem rent, problem Głowy Państwa wymagają, naszym zdaniem, specjalnego omówienia.

PROBLEM STOSUNKÓW KOŚCIOŁA I PAŃSTWA

DOTYCHCZASOWA analiza projektu Konstytucji była dokonywana z punktu widzenia obywatelskiego. Jesteśmy jednakże obywatelami Polski Ludowej, posiadającymi wyraźny światopogląd katolicki. W tym właśnie charakterze, wyrażając przekonanie coraz bardziej rosnące na siłach kierunku postępowego w społeczności katolickiej, chcemy stwierdzić, że nie tylko jako obywatele, ale właśnie jako katolicy widzimy głęboką wartość tych wszystkich postanowień projektu, które są rejestracją albo zapowiedzią o-

(Dokończenie ze str. 1)

siągnięć klasy robotniczej wraz z jej sojusznikami proletariatem wiejskim, pracującym chłopstwem i inteligencją pracującą. Z naszych pozycji ideologicznych wynika przekonanie, że w płaszczyźnie doczesnej najbardziej potrzebne światopoglądowi katolickiemu jest głębokie i szczerze współdziałanie z walką klasy robotniczej o jej ostateczne wyzwolenie. Te względy powodują, że uważamy, iż katolicy polscy, analizując ze swego punktu widzenia projekt Konstytucji, winni widzieć jej całość.

Artykuł 70, który precyzuje ustosunkowanie się Państwa Ludowego do Kościoła przesądza następujące zagadnienia: a) że Rzeczpospolita Ludowa jest państwem laickim, b) że Kościół nie jest instytucją państwową, c) że ustawy chronią wolność sumienia i wyznania. Trzeba stwierdzić, że historia dostarczyła wielu argumentów do stwierdzenia, że zwiążenie Państwa z Kościo-

lem bynajmniej nie oznacza zapewnienia swobody i powagi jego posiadnictwa. Przeciwnie, czyni Kościół częścią instytucją państwową, a religię, jak wyraził się Józef II, częścią policji państwowej. Dane historyczne wskazują też, że rozdział Kościoła od Państwa może być przyczyną zarówno wielu ujemnych skutków jak we Francji, w r. 1795 i 1905, w Portugalii w r. 1911, jak i bardzo dodatnich dla życia religijnego, jak w Belgii, Brazylii i ogromnej większości państw współczesnych na wszystkich kontynentach. W naszych współczesnych polskich warunkach obawa ujemnych skutków prawnych nie zachodzi gdyż mamy nie tylko art. 70 projektu Konstytucji, ale także jego jedynie miarodajną interpretację, którą jest tekst Porozumienia między Rządem a Episkopatem z 14 kwietnia 1950 roku. Dlatego powołanie się art. 70 w projekcie Konstytucji może być odczytane przez katolików polskich jako potwierdzenie przekonania, że najbardziej zasadniczym ich zadaniem jest przyczynianie się do pełnej realizacji Porozumienia.

NOTATNIK POLITYCZNY

Churchill pod pręgierzem

PODRÓŻ Churchilla do Stanów Zjednoczonych w dużej mierze przyczyniła się do ujawnienia rozbieżności w poglądach na politykę zagraniczną istniejących między rządem konserwatystów a labourzystowską opozycją.

Jak wiemy rozbieżności te były dotąd troskliwie ukrywane i od czasu do czasu słyszeliśmy szumne deklaracje na temat pełnej solidarności opozycji z rządem w sprawach dotyczących zasadniczego kursu Foreign Office. Jednak wojownicza mowa Churchilla wygłoszona w amerykańskim Kongresie nawet flegmatycznych Anglików zdołała wyprowadzić z równowagi. Wprawdzie premier brytyjski starał się być maksymalnie enigmatyczny, jednak z jego wypowiedzi na temat ewentualnego zachowania się W. Brytanii w wypadku gdyby zawieszenie broni na Korei zostało zerwane — niedwuznacznie wynikało, że zamierza on udzielić poparcia agresywnym planom USA na Dalekim Wschodzie. Prasa labourzystowska natychmiast uderzyła na alarm, przy czym podkreślano, że pomijając nawet kwestię czy rzeczywiście Churchill pozostanie jakiegokolwiek koncesje na rzecz Stanów Zjednoczonych — samo postawienie przez niego problemu Korei — było mocno kompromitujące dla rzekomo „pokojowych” intencji rządu angielskiego. Nie ma bowiem wiele wspólnego z rzeczywistymi dążeniami do pokoju, w czasie toczących się rokowań, oficjalne ogłaszanie jeszcze, że zamierza się interweniować zbrojnie, jeżeli, po ewentualnym osiągnięciu zawieszenia broni, Korea Północna zawieszenie naruszy. To zakładanie z góry złej woli u przeciwnika, z którym zamierza się dojść do porozumienia, na pewno rozmowom toczonym w Panmunżon nie pomogło.

W rezultacie ostrej krytyki ze strony własnego społeczeństwa i opozycyjnej prasy — Churchill postanowił „wziąć wodę w usta”. Podczas dwudniowej debaty na temat polityki zagranicznej wstrzymał się z wygłoszeniem exposé i na pierwszy ogień wysunął Edena.

W przeddzień debaty liczono się powszechnie z tym, że gdyby kon-

serwatyści usiłowali bronić stanowiska zajętego przez ich szefa w Kongresie — Labour Party postawił wniosek o uchwalenie votum nieufności dla rządu. Eden zatem nie miał łatwego zadania. Musiał on w swym przemówieniu stale pamiętać o konieczności nienarażenia się Amerykanom i jednocześnie uspokojeniu wzburzonej opozycji. Zwłaszcza jeden z wysuwanych przez Labour Party zarzutów był szczególnie trudny do odparcia. Otóż labourzyści twierdzili, że Churchill w rozmowie z Trumanem powziął w imieniu W. Brytanii szereg takich zobowiązań, których nie śmie ujawnić nie tylko własnemu narodowi, co byłoby jeszcze w ich zdaniem, wytyumaczalne, ale i współodpowiedzialnym za kurs brytyjskiej polityki kolegom z opozycji.

Sytuacja „między młotem a kowadłem” w jakiej znalazł się rząd konserwatystów zmusiła Edena do dalekoidącego wycofania się z proamerykańskiego zaangażowania się Churchilla. „W odniesieniu do sprawy Korei żadnych nowych zobowiązań nie podjęto” — musiał oświadczyć Eden, adresując te słowa do labourzystów. Do Amerykanów zaś na pewno zaniepokojonych tym generalnym odwołaniem „kongresowych” churchillowskich pozycji, za które zapłacili jakby nie było 300 milionów dolarów w postaci kredytów dla Anglii — brytyjski minister adresował następującą formułę uspokajającą: „Jedynym porozumieniem, do jakiego doszliśmy, było porozumienie na temat konsultacji pomiędzy zainteresowanymi krajami włącznie z Wielką Brytanią w wypadku, gdyby ewentualny rozjem został pogwałcony przez zbrojną agresję”.

Jak widzimy z tej niestęchanej bladej wypowiedzi, jedno tylko niezbitcie wynika, a mianowicie fakt pełnej kapitulacji rządu wobec presji brytyjskiej opinii publicznej i labourzystowskich ataków. Oczywiście nie należy się ludzi, że opisywany casus w decydujący sposób zaważy na dalszych losach brytyjsko-amerykańskiego sojuszu. Zarówno Labour Party, jak i konserwatyści nie zamierzają rezygno-

wać z trzymania się amerykańskiej klamki, a bardzo często krytyka labourzystów nie jest bynajmniej powodowana różnicami natury zasadniczej, lecz po prostu chęcią kompromitowania partii antagonisticznej. Pamiętamy przecież, że gdy Atlee znajdował się u władzy, reprezentował on niemalże identycznie proamerykański kurs polityki. Jednak obecnie, gdy labourzyści nie sprawują władzy, o wiele łatwiej jest im wychytnie wać zgubne konsekwencje polityki konserwatystów, w które nieuchronnie sami by popadli, gdyby np. nie Churchill, a Atlee był premierem. Nie innego przecież jak właśnie podporządkowanie się wytycznym amerykańskim zażycy dowało o przedstawionym niedawno przez konserwatywnego ministra skarbu Bullera nowym programie oszczędnościowym, tak namiętnie atakowanym przez Labour Party. Program ten przewidywał m. in. redukcję 10 tys. pracowników umysłowych, co z kolei pozwala labourzystom kreować się na obrońców praw świata pracy. Również obecnie korzystają oni z każdej okazji, ażeby przedstawić się narodowi w roli partii zwalczającej hegemonię USA w odniesieniu do spraw Commonwealthu.

Przemówienie Edena kryzysowi zapobiegło. Labour Party w rezolucji aprobującej zagraniczną politykę rządu wyraziło jedynie żal, że „premier nie nadał odpowiedniego wyrazu tej polityce przy okazji swej podróży do USA”. Osobistej odpowiedzi Churchilla na stawiane pod jego adresem zarzuty nadal nie znamy. Eden przemawiał we wtorek 5 lutego, zaś Churchill w środę 6 lutego miał debatę podsumować. W tym właśnie dniu umarł król Jerzy VI. Ta okoliczność spowodowała przerwanie obrad, wskutek czego do chwili, gdy te słowa piszemy, trudno przewidzieć czy szef rządu brytyjskiego utrzyma swą wypowiedź w podobnie skruszonym tonie, co jego minister spraw zagranicznych czy też przeciwnie, po nieumiejętnych „rugach” amerykańskich za enunciację Edena — nie zechce upierać się przy stwierdzeniach analogicznych do tych, które usłyszał amerykański Kongres.

Józef PIEPER

tłum. Z. L.

O ŚW. TOMASZU Z AKWINU

POWIEDZIANO, że praca św. Tomasza jest najbardziej bezosobistym dziełem XIII stulecia. W istocie, spośród trzydziestu tomów „Opera omnia” z trudem można doszukać się jakiegoś bezpośredniego rysu charakterystycznego dla autora. Dlatego należy samą wartość tych tomów traktować jako zwierciadło jego osobowości.

Na tych jednak, którzy znali Tomasza osobiście, musiało właśnie jego bezpośrednio widziane, ludzkie życie wywrzeć niewątpliwe wrażenie: ten człowiek o wielkiej i prostej postaci, silny i łagodny zarazem, z czołem potężnie sklepionym i cerą koloru ziarna pszenicznego, z obliczem, na którym nigdy nie wygasła ogień oczu, ten mnich, którego często widywano samego, jak

może poznać tylko ten, kto nie chce niczego dla siebie, kto jest nią samą w sobie „zainteresowany”. Nieczyste, zwyrodniałe w egoizmie pragnienie rozkoszy niszczy zarówno siłę decyzji, jak i najbardziej wewnętrzną zdolność duszy do milczącego wsłuchiwanie się w mowę rzeczywistości.

Pojąć tę mowę, to znaczy uchwycić prawdę istoty rzeczy, taka jest właściwa namiętność św. Tomasza. Z tego zasadniczego rysu jego charakteru wydubyć można i jego zadziwiającą odwagę, i jego nie mniej zaskakującą pokorę. Jeśli Tomasz wbrew tradycyjnemu kierunkowi filozoficzno-teologicznemu stanął po stronie poganina Arystotelesa (wystąpienie, które wymagało obrzymiej, śmiałości!), to nie dlatego, żeby był chciwy nowości i żeby znajdował

II

o przychylność, wskazuje także, iż Tomasz w jakiś radosny sposób wolny był od wszelkiej, pyszałkowości. Ułożył nawet modlitwę, w której prosi Boga, aby pozwolił mu być pogodnym bez lekkomyślności i dojrzałym bez zarozumiałstwa.

PRZYWYKLIŚMY spory filozoficzne przyrównywać do pojedynków, a w każdym bądź razie łączą się one w naszej wyobraźni z obrazem walki, w której musi być zwycięzca i zwyciężony. I bardzo często dysputy (czy też to, co się dysputami nazywa) w istocie toczą się według prawideł walki. Tomasz uważałby prawdopodobnie za przejaw nieznośnej zarozumiałości, gdyby mówiono o jego „zwycięstwie” nad Averrosem czy Sigerem z Brabantu. Dla niego spór filozoficzny jest wspólnym dążeniem nie do zwycięstwa jednej ze stron dyskutujących, lecz do zwycięstwa prawdy. I temu, który błędził — powiada Tomasz — należy się podziękować, ponieważ pomyłki błędzącego mogą przysłużyć się uwyrażeniu prawdy. Dlatego Tomasz w dyskusjach z przeciwnymi sobie poglądami stosuje metodę, która jest zaprzeczeniem wszystkich reguł walki: atakuje przeciwnika nie w najsłabszych punktach jego podstawy, lecz mierzy się z jego najsłabszymi argumentami. I często sam pierwszy wydobywa siłę tych argumentów na światło dzienne; formułuje zarzuty przeciwnika tak, że nabierają one większej mocy przekonywującej. Dlatego lektura Summy Filozoficznej tamuje niemal oddech w piersiach, gdy obserwujemy, jak odważny umysł nie unika zetknięcia się z istotnymi pytaniami, lecz sam wychodzi im naprzeciw.

Jest rzeczą pewną, że nie nie kryje w sobie tak silnej pokusy poczucia wyższości i dumy, jak świadomość przewagi intelektualnej; ale najzupełniej wiarygodnie brzmi to, co Tomasz wyznał swemu przyjacielowi Reginaldowi: „Dzięki łasce Bożej, ani mój wiedza, ani urząd profesorski, ani publiczne dysputy nie wzbudziły nigdy we mnie uczucia pychy”. Tak prosi mówić o sobie rzeczy dobre może tylko człowiek, którego miłość do prawdy wyższa jest nawet od pokory.

NIE MOŻNA pisać na temat Tomasza i jego umiłowania prawdy nie wspominając o tym, z jakim oddaniem służył on jej swoją działalnością profesorską. Wyprowadzić człowieka z błędów i powieść go ku prawdzie — nazywał on największym dobrodziejstwem, jakie jeden człowiek może wyświadczyć drugiemu. I nie nie charakteryzuje Tomasza jako nauczyciela tak dokładnie, jak modlił się i nadzieja, w niej wyrażona, że żyć będzie póty, póki będzie mógł uczyć; jeśli nie będzie mógł nauczać, może mu być także i życie zabrane. Nauczanie — znaczyło dla Tomasza więcej niż jakiś inny sposób przekazywania „wyników badań”, więcej niż relacjonowanie o rezultatach czy też bezdrożach i drogach, którymi do tych rezultatów dochodził. Nauczanie jest żywym procesem dziejącym się między żywymi ludźmi. Nauczyciel spogląda nie tylko w samą prawdę rzeczy, lecz patrzy jednocześnie w oblicza żywych ludzi, którzy słuchając prawdy chcą i powinni ją przyjąć. Miłość prawdy i miłość człowieka — razem zespolone — czynią dopiero nauczyciela. Nie mała część dzieł zbiorowych Tomasza powstała z wysłuchania próśb lub pytań, czy to jakiegoś przyjaciela, czy jakiegoś księdza, czy też nieznanego zupełnie, prostego szarego człowieka. Pewnego razu jakiś mody braciśzek z Wenecji, a więc „nowicjusz”, poprosił go o odpowiedź na ni mniej, ni więcej tylko

35 pytań, przy czym pytania te były sformułowane niejasno, a petent prosił o udzielenie mu odpowiedzi w ciągu czterech dni. Tomasz, dla którego na pewno twierdzenie, że jest zawałony wieloma ważniejszymi pracami, nie byłoby konwencjonalnym pretekstem do odmowy, nie tylko udzielił odpowiedzi, ale sprecyzował sam pytania; i mimo to dotrzymał wyznaczonego terminu.

Uczyć innych to znaczy przede wszystkim posiadać zdolność obejmowania całości zagadnienia i zdolność uproszczonego — w najlepszym tego słowa znaczeniu — wykładu prawdy. To znaczy także zadawać sobie trud wczucia się w sytuację początkujących słuchaczy. Jakże wielką zdolność prostego wykładu posiadał Tomasz i jak wiele zadawał sobie trudu, aby wczuć się w sytuację swoich uczniów! Najlepsze siły i najdłuższy okres swego życia poświęcił nie „badaniu”, lecz pisaniu podręcznika dla początkujących, który jest jednocześnie owocem najgłębszego przeniknięcia prawdy. „Summa Teologiczna” jest napisana wyraźnie *ad eruditionem incipientium*, dla nauki początkujących; tak kilkakrotnie zaznacza jej autor w przedmowie. W tej samej przedmowie do „Summy Teologicznej” czytamy o obrzydzeniu, jakie budzi ruyna i o zamieszaniu, jakie w umyśle początkującego powstaje wskutek przerostu nieuporządkowanej uczoneości. O metodzie nauczania św. Tomasza mówi wznajęcia wspólczesnych mu ludzi; Tomasz porwał studentów swoją świeżością i nowością; mnóstwo „scholastycznych” lamigłówek, które w trzynastym stuleciu stały się już tralicyją, u Tomasza po raz pierwszy — jak mówi Marti Grabmann — wyrzucone zostały na śmieć (skąd zresztą przez późniejszą scholastykę zostały znowu wydobyte i przywrócone do dawnej świetności).

Jakaż zdolność obejmowania całości zagadnień i prostego ich wykładu przejawia się już w podziale „Summy Teologicznej”. W pierwszej części traktujemy o Bogu, w drugiej o dążeniu ku Bogu stworzeń rozumnych, w trzeciej o Chrystusie, który w swoim człowieczeństwie jest dla nas drogą dążenia ku Bogu. Jakaż siła prostoty wykładu mieści się w takim jednym zdaniu, jak to, które zawiera w sobie cały „Summa” Chrystusowej nauki o życiu: „trojaś” rozda, poznania potrzebny jest człowiekowi dla jego zbawienia — poznanie tego, w co musi wierzyć, poznanie tego, o co musi się modlić i poznanie tego, co musi czynić; pierwsze zawarte jest w Składzie Apostolskim, drugie w Modlitwie Pańskiej, trzecie w Przykazaniach.

TRUDNO znaleźć w dziele św. Tomasza rozdział, który by z tak olbrzymią wyrazistością, jak rozdział jedenasty czwartej księgi „Summy Filozoficznej” ukazywał, jak mocno w tym wielkim człowieku zespoliła się pierwotna siła przenikająca w głąb widzenia i wyjaśniania rzeczywistości z genialną formą i plastyczną mocą wykładu. Najlepiej te cechy ilustruje właśnie rozdział jedenasty czwartej księgi „Summa contra gentiles”. W części tej w naprawdę porwijającym ogólnym obrazie świata Tomasz podejmuje trud wyjaśnienia hierarchicznej budowy całej rzeczywistości od kamienia aż do aniołów, a nawet do Boga samego. Píše tam:

„Wśród rzeczy obserwujemy, zależnie od różnorodności ich natury, różny sposób uzewnętrzniania swej istoty; istota ta jest tym wyższego rzędu im bardziej ową uzewnętrznianie się jej samej dokonuje się wewnątrz niej samej. Ciąta nieżywione stoją na najniższym stopniu wszystkich rzeczy.

Uzewnętrznienie się ich istoty nie może się dokonać inaczej jak tylko przez zewnętrzne oddziaływanie jednej rzeczy na drugą... Istotami wyższego, następnego rzędu są — w świecie ciał ożywionych — rośliny. Uzewnętrznianie ich istoty poczynają się już wewnątrz nich. Wewnętrzny sok rośliny wytwarza nasienie, a z nasienia — rzuczonego w ziemię — wyrasta nowa roślina. To jest pierwszy stopień życia. Być żywym znaczy bowiem: być zdolnym do powoływania się do życia... Jednak życie roślin nie jest doskonałe. Wprawdzie uzewnętrznianie ich istoty poczynają się w ich wnętrzu, ale to, co zostało uzewnętrznione, odrywa się od nich i ostatecznie istnieje poza nimi. Naprzód z soku drzewa powstaje kwiat a potem owoc, który jest jeszcze z drzewem związany i jest już jednocześnie poza nim; gdy owoc dojrzał, oddziela się zupełnie od drzewa, spada na ziemię i tworzy ze swego ziarna nową roślinę. Jeśli się dokładnie przyjrzeć, to początek tego uzewnętrzniania istoty roślin leży także poza nią, a właściwie wewnętrzny sok drzewa został przez korzenie wysany z ziemi, z której roślina czerpie pożywienie. — Wyżej od życia roślinnego postawione jest pod względem pożywienia życie zwierzęce. Właściwe uzewnętrznianie jego istoty zaczyna się wprawdzie od zewnątrz, ale kończy wewnątrz; im bardziej postępuje naprzód, tym bardziej jest wewnętrzne. Zmysłowa pojęty byt narzuca zmysłom swoją formę; przez nie oddziałuje na wyobraźnię i skarbiec pamięci. Ale w czasie tych wszystkich procesów uzewnętrzniania się istoty początek ich i koniec leżą w różnych zakresach; żadna bowiem władza zmysłowa poznana a nie może poznać samej siebie. Ten stopień życia jest więc o tyle wyższy od życia roślinnego, o ile czynność ma właściwa tkwi głębiej w jego własnym wnętrzu; ale nie jest on jeszcze stopniem życia doskonałego, gdyż początek i koniec procesu uzewnętrzniania istoty są od siebie oddzielone. — Najwyższym i najdoskonalszym stopniem życia jest życie zdolne do poznania rozumowego. Rozum bowiem zwraca się ku samemu sobie i jest w stanie poznać sam siebie. Ale i w życiu rozumowym różnicę trzeba znowu kilka stopni. Rozum ludzki, chociaż zdolny jest poznać sam siebie, początek swego poznania bierze z zewnątrz. Nie może bowiem poznać rzeczywistości bez obrazów zmysłowych. Doskonalsze jest życie aniołów, których rozum nie wychodzi w poznawaniu siebie od czegoś zewnętrznego, lecz zdolny jest zamknąć proces poznania w samym sobie. Jednak i to nie jest jeszcze ostatni, najdoskonalszy stopień życia, gdyż rozumowe jego odbicie, chociaż jest zamknięte w sobie całością nie jest jeszcze zjednoczone z jej istotą; u aniołów poznanie i istnienie nie jest jeszcze jednością. Najwyższą doskonałość życia osiąga Bóg, w którym poznanie i istnienie są nierozdzielne”.

Właściwie cały ten fragment trzeba słyszeć w jego łacińskim brzmieniu. W języku św. Tomasza nie ma wprawdzie piękna świadomości zamierzonego dzieła, szlachetnego piękna, które bije z kart św. Augustyna. Ale język ten jest piękny tak, jak piękne jest narzędzie doskonale. Jednak i w pismach św. Tomasza jest nie mało rozdziałów, których zdania w tak ujmującej kadencji zmierzają ku swojej konkluzji, ku owemu ostatecznemu „ergo”, że nie można znaleźć dla nich bardziej odpowiedniego porównania, niż porównanie ze zmiernymi jasno ku finałowi końcowymi frazami organowe, fugi Jana Sebastiana Bacha. Byłoby zresztą dziwne, gdyby tajemnicza mowa nie odkryła się przed człowiekiem, któremu chrześcijaństwo zawdzięcza hymn „Adoro te devote, latens Deitas”.

Tłum. Z. L.

(Dokończenie w następnym numerze)



Święci Zakonu św. Dominika

olbrzymimi krokami, pogrążony w medytacjach, przemierzał w tę i tamą stronę korytarze klasztorne — ten człowiek musiał być świętym. O ćwiczeniach ascetycznych i umartwianiu ciała świadkowie procesu kanonizacyjnego, z których wielu znało osobiście Tomasza, nie umieli nic powiedzieć. Ale zeznali: Tomasz kochał spokój, był surowy dla samego siebie, a pokorny i pełen dobroci wobec drugich, kochał życie w ubóstwie, a wszystkie jego myśli i uczucia kierowały się ku temu, co Bóg.

Przed wszystkim jeden rys charakteru wspomniany był najczęściej, przez przeszło trzydziestu świadków: castitas (czystość). Św. Tomasz był człowiekiem o tak pogodnym, wesołym i żywym usposobieniu, że każdy, kto się z nim zetknął, odczuwał coś w rodzaju świeżego, orzeźwiającego powiewu.

Nam, ludziom współczesnym, którym wydaje się, że dla poznania prawdy wystarczy tylko mniej lub więcej katyzytne umysł, nam, którzy pojęcie ascezy poznania z trudem staramy się sobie wytłumaczyć — zachęca się w świadomości ścisły związek, jaki istnieje między czystością moralną a warunkiem czystości moralnej. Tomasz mówi, że pierwotną córką nieskromności jest zniechęcenie duszy i umysłu. Prawde

przyjemność w opozycji przeciwko tradycyjnej nauce, ale dlatego, że jego odwaga w uznaniu prawdy dostrzegła tę jej część, która zawarta była w dziele Arystotelesa. Ta sama odwaga w poznawaniu prawdy kazała mu w komentarzu do księgi Hioba pytać, czy szczerza rozmowa Hioba z Bogiem nie narusza szacunku należnego Bogu. Ta sama odwaga w uznawaniu prawdy każe mu dać na to pytanie niezwykłą odpowiedź: prawda nie zmienia się w zależności od wysokiej godności tego, do którego przemawia. Ten, kto mówi prawdę, nie może być zwyciężony, z kimkolwiek toczył spór. Z drugiej strony, gdy Tomasz, w ostatnich latach swej działalności paryskiej, a więc w okresie, w którym oczy zalegał Zachód, były na niego zwrócone, potrafił się opowiadać i w publicznej, żywej dysputy na temat kilku spornych punktów swojej nauki, po wyłożeniu własnych argumentów, ostateczny sąd powierzył biskupowi Paryża i profesorom uniwersytetu, nie znaczyło to znowu, że kieruje nim jakaś nieokreślona skromność, lecz odwaga w ukazywaniu prawdy, która polega także na zrozumieniu, iż postawienie tezy nie jest czymś istotniejszym, od rozważenia jej podstaw. Ta spokojna odwaga w szukaniu prawdy, która nie lękała się ani opozycji, ani też nie starała się zbyt

Mateusz T. MILEWSKI

CHLEBA NASZEGO...

„Wszystko się rusza. Wszystko się odmienia. Świat trwa. Z dzielności wszystkich części wynika całego ogółu trwałość, porządek i dobro”. (Ks. St. Staszic „Przestrogi dla Polski”, 1790 r.)

CZŁOWIEK jako jednostka biologiczna jest częścią przyrody i z przyrody czerpie wszystko, co mu jest do życia potrzebne. Począwszy od powietrza do oddychania i wody do picia, a skończywszy na materiałach, z których budujemy nasze najbardziej precyzyjne instrumenty i maszyny — wszystko to dary przyrody.

Od momentu narodzin cywilizacji, aż po dzień dzisiejszy, zarówno cała dawna, prymitywna, jak i obecna tak skomplikowana działalność gospodarcza, sprowadza się przede wszystkim do zaspokajania dwóch najbardziej podstawowych potrzeb ludzkości: zdobywania pożywienia i odzienia. Dopiero później idzie potrzeba posiadania dachu nad głową i tych wszystkich zdobyczy cywilizacji, które nazywamy wygodą życia. Cała energia niezbędna człowiekowi dla jego rozwoju, czerpana jest w formie pokarmów. Bez względu na stopień cywilizacji człowieka, żeby pracować musi jeść, żeby jeść musi pracować. Takie jest życie.

Matka-Ziemia jest warsztatem, przy pomocy którego człowiek zdobywa pożywienie i odzienie. Źródłem zaspokajania tych dwóch najważniejszych potrzeb ludzkich jest (z bardzo małymi wyjątkami, jak np. sól czy włókno syntetyczne) istniejące życie organiczne — to co geografia nazywa biosferą. Ale tylko w bardzo nielicznych wypadkach wyzyskuje człowiek naturalną florę i faunę. Odróżniamy większość ludzi dostarcza pokarmów i odzienia sztuczna flora i fauna, którą człowiek drogą elitarną hodowli dostosował do swoich potrzeb.

Surowce organiczne, źródło naszego pożywienia i odzienia, różnią się zasadniczo od surowców mineralnych, źródła zaspokajania wszystkich innych potrzeb ludzkich. Surowce mineralne są pozostałością minionych epok geologicznych, ich zapasy niezależnie od swych rozmiarów są ograniczone i nieodnawialne. Produkcja surowców mineralnych roślinie bez przerwy, wynalazczość człowieka wydobywa z ziemi coraz to nowe skarby, jednak musimy pamiętać, że same źródła skarbów powiększyć się nie dają.

Inaczej ma się rzecz z surowcami organicznymi, które są odnawialne, produkowane i reprodukowane, produkcja ich wzrasta nieustannie, a możliwości dalszego jej podnoszenia są nieograniczone.

Duch postępu jest jedną z najistotniejszych cech, różniących nas od zwierząt. Postęp techniczny i gospodarczy, kulturalny i społeczny powoduje, że w perspektywie czasu i przestrzeni ilość produkowanych środków organicznych wyprzedza stale wzrost liczby ludności, dlatego też możemy spokojnie patrzeć w przyszłość.

Podczas gdy nasze zapotrzebowanie na surowce mineralne, jak węgiel, nafta, miedź, żelazo itd. wzrasta nieustannie i nie sposób jest ustalić jego granic, nasze zapotrzebowanie na środki żywności jest ograniczone i ściśle związane z ilością konsumentów. Podobnie jak demografia potrafi obliczyć ilość konsumentów, nie tylko w chwili obecnej, ale i na przyszłość, tak i dietetyka umie ustalić ilość i jakość pokarmów, niezbędnych dla normalnego funkcjonowania organizmu ludzkiego. Opierając się na danych, dostarczanych przez te nauki, obliczenie zapotrzebowania na środki żywności określonego obszaru geograficznego, w określonym czasie, jest już tylko sprawą tabliczki mnożenia.

TRZY PROCESY GOSPODARCZE

W KAŻDEJ działalności gospodarczej, a więc i w tej, która służy potrzebom wyżywienia, możemy wydzielić trzy odrębne procesy: produkcję, spożycie i wymianę. Jeżeli dla przykładu przyjrzymy się losom herbaty chińskiej, proces jej produkcji kończy się w momencie kiedy liście opuszczają granice plantacji, gdzieś nad rzeką Jang-Tse-Kiang. Proces spożycia zaczyna się w momencie, kiedy kupujemy paczkę herbaty w sklepie MHD. Wszystko co się dzieje z herbatą między tymi dwoma momentami nazywamy procesem wymiany.

Produkcję i spożycie można by nazwać statycznymi procesami gospodarczymi, ponieważ są one zawsze przywiązane do ściśle określonego miejsca w przestrzeni i mogą być oznaczone na mapie, podobnie jak np. gleba, szata roślinna, itd. Oczywiście postęp gospodarczy jest czynnikiem, który powoduje pewne przemiany w procesach produkcji i spożycia w czasie i przestrzeni, ale z drugiej strony środowisko geograficzne jest czynnikiem hamującym te przemiany. Stąd mimo postępu cywilizacji obserwujemy olbrzymie bogactwo różnic regionalnych w procesach produkcji i spożycia, stanowiące niezmiernie interesujący przedmiot badań geografii gospodarczej.

W odróżnieniu od procesów produkcji i spożycia, proces wymiany jest w wysokim stopniu dynamicznym zjawiskiem gospodarczym. Proces wymiany potęguje się bez przerwy wraz z postępowaniem cywilizacji od początku historii rodzaju ludzkiego. Transport jest narzędziem wymiany, toteż potężnym bodźcem jej rozwoju stało się unowocześnienie mechanicznych środków transportu, zapoczątkowane rewolucją przemysłową. Wymiana wszystkich dóbr, a więc i środków żywności, wzrosła kolosalnie i roślinie bez przerwy do dnia dzisiejszego. Rozwój wymiany jest jednym z najbardziej interesujących tematów historii gospodarczej.

Pośród trzech procesów gospodarczych produkcja jest najbardziej zbadana naukowo i najlepiej ujęta statystycznie. Literatura na ten temat jest tak obszerna i różnorodna, że nie podobna jej omówić w ramach krótkiego artykułu. Musimy jednak zwrócić uwagę na pracę wielkiego patrioty, filozofa i wychowawcy narodu, księdza St. Staszica, który w tym samym czasie kiedy Malthus głosił właśnie swoje ponure przepowiednie, spokojnie patrzył w przyszłość i w swojej „Statystyce Polski”, wydanej w roku 1807, dał wspaniały obraz dynamiki procesów demograficznych i gospodarczych.

SPOŻYCIE

PROCESOWI spożycia, jako zjawisku gospodarczemu i społecznemu, nauka i statystyka poświęca nieporównanie mniej miejsca. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że jest to najslabiej opracowany dział nauki o gospodarce. Takie stanowisko wydaje się niestuzne, jako że spożycie jest właśnie celem, a produkcja jedynie środkiem do tego celu. Wszyscy ludzie na świecie są konsumentami środków żywności, a tylko część — w każdym kraju różna — zajmuje się produkcją i wymianą. Ponieważ znane nam prace naukowej literatury polskiej na temat odżywiania się szerokiej mas ludzkości można by wyliczyć na palcach jed-

nej ręki, poświęcimy im kilka słów uwagi.

W r. 1894 znakomity fizjolog, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Napoleon Cybulski, ogłosił pracę pt. „Próba badań nad żywieniem ludu wiejskiego w Galicji”. Na podstawie dobrze pomyślanej ankiety przeprowadził Cybulski studia, które dały mu materiał do ustalenia stanu spożycia w Galicji i przeprowadzenia porównań dotyczących odżywiania się ludności w kilku krajach europejskich.

O ile nam wiadomo następna próba tego rodzaju opracowań została dokonana dopiero po upływie 55 lat. Mamy tu na myśli pracę napisaną przez J. Tyszko i J. Miare, drukowaną w r. 1949 w „Spółdzielczym Przeglądzie Naukowym”. Tematem wspomnianego artykułu jest zagadnienie dotychczasowego i pożądanego układu spożycia artykułów spożywczych w naszych warunkach geograficznych i gospodarczych, obejmujące nie tylko wartość odżywczą diety, ale również roczne zapotrzebowanie surowców i produktów żywnościowych według diety prawidłowej.

W tym samym roku w kwartalniku „Ekonomista” ukazał się artykuł, zasługujący na szczególną uwagę dzięki temu, że autor podaje w nim syntezę dwóch procesów: produkcji i spożycia. Autor, prof. Schmidt, twierdzi, że normy żywnościowe jakże ustala dietetyka, nie decydują jeszcze o doborze środków spożywczych, a stanowią jedynie punkt wyjścia dla rozwiązania zagadnienia produkcji. W usiłowaniach realizacji celów wytkniętych przez dietetykę, każde gospodarstwo narodowe staje przed szeregiem problemów. Warunki geograficzne, z których klimat i gleba są najważniejsze, decydują w bardzo wysokim stopniu o doborze roślin nadających się na danym terenie do uprawy. Poszczególne uprawy różnią się między sobą nie tylko pod względem wartości kalorycznych dla odżywiania ludzkiego, ale również pod względem wydajności zbioru. Wydajność zbioru zależy z kolei od technicznego poziomu rolnictwa, ilości nawozów sztucznych, itd.

Osobny problem stanowi produkcja artykułów zwierzęcych, która silną rzeczą odbywa się przez zużycie większych czy mniejszych ilości surowców roślinnych, kosztem poważnych strat kalorycznych przy zamianie surowców roślinnych na artykuły zwierzęce. Dokładne obliczenie jest trudne do osiągnięcia wobec wyższej wartości odżywczej artykułów zwierzęcych. Ograniczymy się też do jednego przykładu, który dostatecznie objaśnia zagadnienie: kaloryczna wartość chleba uzyskana z I ha pszenicy o wydajności 20 kwintali, może wyżywić rocznie ponad 12 ludzi. Ale kaloryczna wartość jaj uzyskanych przez żywienie tą pszenicą średnio nośnych kur spada do 12%, czyli może wyżywić rocznie tylko 1,4 człowieka.

Wiadomo, że samym chlebem, ani innymi jajami człowiek nie może żyć. Zasadniczą cechą racjonalnej diety jest wielka różnorodność pokarmów. Dlatego to prof. Schmidt ustala nie tylko przeciętne roczne zapotrzebowanie różnych produktów na głowę ludności w Polsce, ale oblicza przy tym zapotrzebowanie powierzchni ziemi uprawnej pod każdy z tych produktów. W ten sposób dochodzi do wniosku, że przy obecnym stanie techniki rolnej dla zaspokojenia potrzeb żywnościowych jednostki trzeba od 0,5 do 0,65 ha, dla zaspokojenia zaś potrzeb całej ludności Polski — 15.600 000 ha, co wynosi 72% użytków rolnych, jakimi dysponujemy. W ten sposób pozosta-

je nadwyżka 23%, między globalnym zapotrzebowaniem, a maksymalnymi możliwościami produkcyjnymi. Nadwyżka ta może być jeszcze zwiększona przez podniesienie techniki rolnej.

Na końcu swego niezmiernie interesującego artykułu prof. Schmidt zastrzega się, że jego obliczenia nie mogą zastąpić szczegółowego rozpracowania diety dla poszczególnych grup ludności, że powinny stanowić rodzaj drogowskazu dla specjalistów w higienie odżywiania, opracowujących normy dietetyczne. Oświadczenie to mówi, że temat nie jest jeszcze bynajmniej wyczerpany. Że dopiero doprowadzona do końca dyskusja naukowa pomiędzy specjalistami w dziedzinie wyżywienia i produkcji rolnej pozwoli na teoretyczne ustalenie norm spożycia i zapotrzebowania surowców spożywczych na tym etapie, na jakim znajdujemy się w chwili obecnej.

WYMIANA

BEZ względu na wielkość badanego obszaru — czy jest to pojedyncze gospodarstwo chłopskie, czy teren całego państwa — gospodarkę jego można podzielić na dwie odrębne kategorie: gospodarkę naturalną i towarową. Produkcja naturalna służy zaspokojeniu własnych potrzeb producenta, produkcja towarowa przeznaczona jest do wymiany. Różnica między produkcją i spożyciem w ramach jednostki gospodarczej daje towar. Towar jest przedmiotem wymiany. Studia wymiany, oparte na statystyce, są również nieliczne, jak badania spożycia.

Pośród opublikowanych prac musimy wymienić dwie, naszym zdaniem, najbardziej godne uwagi: Pierwsza to ogłoszona w Polsce w latach 1931 - 33 praca St. Sliwy o okęgach zbożowych i hodowlanych w Polsce przedwojennej. Na podstawie danych statystycznych przewozów kolejowych Sliwa ustalił nadwyżki i niedobory według powiatów dla następujących towarów: zbóż chlebowych i mąki, bydła rogatego, trzody chlewnej, owiec oraz mieszanek zwierząt.

W roku 1950 Instytut Ekonomiki Rolnej wydał pracę Marii Czerniewskiej pt. „Badania obrotów i towarowości artykułów rolnych w gospodarstwach chłopskich w 1947/48 r.”, w której autorka na podstawie ankiety, obejmującej obszar całego państwa, uzyskała obraz towarowych nadwyżek głównych surowców spożywczych: zbóż, mięsa, jaj itd., z różnych co do obszaru gospodarstw chłopskich, i przedstawiła je w trojaki sposób: w % od przychodu czyli całej produkcji; w kg na jedno gospodarstwo według różnej skali obszaru; na I ha gruntów rolnych w kg.

Rozumie się samo przez się, że badanie tych trzech procesów gospodarczych: produkcji, spożycia i wymiany, oparte na podstawie czy to ankiety, czy statystyki daje zawsze obliczenia, związane ściśle z jakimś okresem czasu z przeszłości. I jakkolwiek prace tego rodzaju stanowią cenny materiał naukowy i praktyczny, należy jednak zdać sobie jasno sprawę, że w momencie rewolucji gospodarczej, jaką przeżywamy dzisiaj, nie są one wystarczające do rozwiązań stojących przed nami zadań. Przy olbrzymim rozwoju techniki i kolosalnym dynamizmie procesów gospodarczych i społecznych, czas terażniejszy ogranicza się tylko do dnia dzisiejszego, i przez to wymyka się spod wszelkiej możliwości badań naukowych.

Rozważania więc teoretyczne, szukające rozwiązań problemów wyżywienia na danym obszarze geogra-

ficznym, muszą przyjąć pewną metodę, która przypomina artyleryjskie „obramowanie celu”. Pierwszym krokiem byłoby przeprowadzenie studium danego obszaru, które stanowiłoby syntezę wszystkich procesów gospodarczych zachodzących na tym terenie, na przestrzeni ściśle określonego czasu w przeszłości, studium które nazwiemy historycznym albo retrospektywnym. Zdobyty tą drogą materiał stanowiłby dopiero racjonalną podstawę opracowań zagadnień gospodarczych tegoż obszaru, odnoszących się do pewnego ściśle określonego odcinka czasu w przyszłości. Te następne prace dla braku lepszych terminów, będziemy nazywali ujęciem prospektywnym albo planowaniem teoretycznym.

WYCHYLENIE W PRZYSZŁOŚĆ

W INSTYNKCIE człowieka leży troska o jutro. Człowieka jako jednostki troska o przyszłość własną i rodziny, jako członka społeczeństwa troska o przyszłość narodu i całego rodzaju ludzkiego. Spojrzenie w przyszłość stanowi istotę każdej działalności gospodarczej. Sztuka przewidywania niezależnych od naszej woli zjawisk, umiejętność planowania naszych czynności jest najważniejszym elementem gospodarowania. Planowanie gospodarcze nie jest wprawdzie rzeczą łatwą, ale nie jest bynajmniej i nową. Rolnik od niepamiętnych czasów planuje uprawę gleby, a system sztucznego nawadniania na wiele tysięcy lat przed Chrystusem był arcydziełem twórczej myśli ludzkiej. Uzasadnienie potrzeb planowania w produkcji rolnej graniczyłoby z truizmem. Już samo słowo „planowanie” wyjaśnia dostatecznie, że każdy rolnik, bez względu na obszar jego działalności gospodarczej, musi planować co najmniej na kilka lat naprzód.

W kraju o gospodarce planowej, którego cała myśl gospodarcza nastawiona jest ku przyszłości, nie brakuje tematów prospektywnych. Spojrzenie w przyszłość znajdujemy w pracy H. Minca: „Osiągnięcia i plany gospodarcze”, L. Rzewańskiego: „Rolnictwo w planie sześcioletnim” i Żabko-Potopowicza „Produkcja rolnicza i potrzeby spożywcze Polski”.

Wszystkie te prace mają jedną cechę wspólną: mówią o całokształcie naszej gospodarki na obszarze Rzeczypospolitej, poruszają wszystkie zagadnienia jedynie w skali państwowej. Biorąc za punkt wyjścia zadania Planu Sześcioletniego mówią o tym co i kiedy ma być wykonane. Pozostawiają otwartym zagadnienie, które można by nazwać geograficznym podziałem pracy: jak podzielić zadania Planu Sześcioletniego między województwa i powiaty. Jasnym jest, iż mamy na myśli jedynie rozważania teoretyczne, jako że rozwiązania praktyczne realizowane są bez przerwy.

Gospodarka planowa obejmuje wszystkie dziedziny życia, wszystkie komórki gospodarcze i jednostki terytorialne, czy więc rozważania teoretyczne nie powinny również obejmować wszystkich mniejszych obszarów gospodarki planowej?

ROZWIĄZANIA REGIONALNE

W EZWANIE do rozwiązań regionalnych znajdujemy w uchwałach Rady Ministrów z dnia 17 kwietnia 1950 roku w sprawie organizacji i zakresu działania wojewódzkich oraz powiatowych komisji planowania gospodarczego. Należy do nich między innymi opracowywanie projektów wojewódzkich i powiatowych planów gospodarczych w zakresie rolnictwa, leśnictwa, drobnego przemysłu, rzemiosła, handlu, komunikacji itd... Opracowywanie bilansów zapotrze-

(Dokończenie na str. 8)

Jan POGORSKI

AZJATYCKIE PRZEMIANY (VI)

NA MALAJACH WOJNA

Trwające od trzech i pół lat walki na Malajach wymagają trwałej mobilizacji około stu tysięcy policji i kolorowych wojsk pomocniczych oraz ponad 40.000 żołnierzy brytyjskich i Gwarkha.

H. Carlton Greene (Listener z 3. I. 1952).

ZEWNETRZNY wygląd Singapuru jest dziś bodajże taki sam, jak przed wojną. Te same wspaniałe zabudowania portowe, piękne nadmorskie bulwary, pałace dla gubernatora i administracji, place do gry w ciekota i tenisa, anglikański kościół i kolumnowe frontony banków — arcybrytyjska fasada, która zakrywa rozległe, chińsko-malajskie, milionowe miasto.

Na murach i bunkrach obronnych ani śladu zadrapań. Wojna oszczędziła wspaniałe Gród Lwów (Singapur — Lew). Wszystkie fortyfikacje wyspy, portu i miasta skierowane były na morze, w stronę cieśniny Malacca, skąd spodziewano się ewentualnego ataku. Wszystkie te urządzenia obronne nie przysadyły się na nie. Pewnego styczniowego dnia 1942 r. Japończycy wynurzyli się cicho z malajskiej dżungli i zajęli miasto pios-

Peshawer, pałacowe intrzygi w Mandalay, Dżohor, Poonah...

Zreszta i tak białym w Singapurze dzieje się jeszcze o wiele lepiej niż w innych posiadłościach dominalnych. Z Cejlonu, Indii, Burmy, Pakistanu cała administracja brytyjska musiała wyjechać, zastąpiona przez urzędników krajowych. Podczas gdy kuzyni w Sidney lub w Londynie stoją godzinami przed sklepem mięsny lub barem mlecznym a w domu żona czy matka mści zmywać naczynia, Anglicy w Singapurze cieszą się jeszcze dawnymi przywilejami i wygodami kolonialnego życia. Duże, przestronne mieszkanie, liczna służba tunyca, wystawne kolacje, do których zasiadają w białych smokingach, a które podają na tarasach, otoczonych wspaniałe utrzymanymi trawnikami, które się codziennie polewa i codziennie troskliwie strzyże.



„Terrorystki” czy żołnierze Armii Wyzwoleńczej?

do niewoli kilkudziesięciu, siedzący garnizon. Po czterech latach nadszedł dzień, w którym okupanci zładowali się na statki i odpłynęli równie cicho jak przyszli.

OKRUCHY IMPERIUM

SINGAPUR to jeden z ostatnich okruchów dawnego Imperium. Tego prawdziwego, którym rządził Colonial Office. Jakże niewiele z niego dziś pozostało! Burma i Indie są od czterech lat niepodległymi i suwerennymi republikami. Ceylon i Pakistan — to niezależne domnia. Co do Federacji Państw Malajskich, to do Federacji Państw Malajskich, to nie ulega wątpliwości, że Wielka Brytania będzie zmuszona nadać im statut niepodległości w ciągu najbliższych paru lat. Jeżeli zdąży.

Tak więc już tylko Singapur, tak jak Sarawak i Hong-Kong pozostaje jeszcze w Azji „kolonią Korony Brytyjskiej”.

NOSTALGIA DAWNEJ ŚWIETNOŚCI

NIEWIELU wojskowych widzi się dziś w Singapurze. Są dalej, wyżej, gdzieś w dżungli, na półwyspie, a roboty im nie brak. Natomiast na tarasach hotelu Raffles widuje się często krwistych gentelmenów, w płóciennych kurtkach, siedzących przy szklance brandy-soda, w której zawsze za szybko topnieje lód. (Whisky bowiem jest tu ogromnie drogie). Wspomina się tu dawne wspaniałości kolonialnego życia, przepychy Delhi, baśniowe przyjęcia u radży Mysore, polowania na tygrysy, partie polo w

działami, których trzon składa się z około 5.000 wyszkolonych żołnierzy, wyposażonych w broń lekką i maszynową. Zasadniczą rezerwą tych grup partyzanckich jest czynna podziemna organizacja, skupiająca ponad, powiedzmy, 15.000 mieszkańców miast i wsi. Organizacja ta zawsze może liczyć na poparcie poważnego odłamu ludności, która chętnie dostarcza partyzantom odpowiednich informacji oraz zaopatruje ich w broń i żywność”.

Nie pierwszy to raz skarżą się Anglicy na niepewność stosunków politycznych na Malajach. Nie wiedzą bowiem, czy grzeszny chiński „boy”, podający w brytyjskim klubie, uprzejma malajska dziewczyna, tańcząca na zabawie w parku, szacowny chiński kupiec, stary kelner oficerskiej messy, nie są czasem członkami groźnego Min-Yuen'u. Min-Yuen to „Ruch Ludowy” to właśnie owa podziemna organizacja, której działalność spędza sen z powiek brytyjskich urzędników na półwyspie malajskim. Przywódcą Min-Yuen'u i zarazem generalnym sekretarzem Malajskiej Partii Komunistycznej jest Czeng-Ping, dowódca partyzantów antyjapońskich podczas wojny, sojusznik oddziałów brytyjskich walczących wówczas przeciwko wspólnemu wrogowi. Za czyny bojowe Czeng-Ping otrzymał w 1945 r. z rąk ks. admirała Mountbatten brytyjskiego dowódcy wojsk na Dalekim Wschodzie, wysokie odznaczenie, jakim jest Order of the British Empire.

Dziś Czeng Ping z paroma tysiącami ludzi trzyma w szachu 40.000 żołnierzy brytyjskich i stu tysięczną armię kolorowych policjantów, wystawioną przez feudalnych władców panujących na półwyspie malajskim.

MALAJSKA DROGA DO NIEPODLEGŁOŚCI

PANOWANIE brytyjskie na Malajach zawdzięcza Anglii wyłączne dalekowzroczności i energii ledniego człowieka. Człowiekiem tym był na początku ubiegłego wieku Sir Stamford Raffles. Podczas wojen napoleońskich Wielka Brytania wysłała z Indii własne wojska dla oceny Indii Holenderskich i wycofała je w 1815 r. W tym czasie Raffles zapoznał się z topografią cieśniny malajskiej oraz z przyszłymi możliwościami rozwoju Singapuru. Po długich staraniach udało mu się przekonać niechętnych dostojników w Colonial Office i wyspa, na której leży dziś Singapur, została nabyta w 1819 r. od sultana Dżohoru. Przez wiek XIX brytyjskie wpływy rozciągnęły się na południową część półwyspu malajskiego, podczas gdy część północna pozostawała w zasięgu wpływów Sjamu. W roku 1909 traktat brytyjsko-sjamski określił obecną granicę między Federacją Malajską a królestwem Sjamu.

Dopiero w końcu ubiegłego wieku Malaje stały się poważnym elementem w gospodarce światowej. Zaczęto bowiem wydobywać cynę i rycino okazało się, że złoża cyny w dolinie Perak są najbogatsze na świecie. To też dziś jeszcze Malaje są najważniejszym producentem cyny na rynku światowym.

Pierwsze drzewka hevej przywieziono w 1884 roku. Były to pędy kradzione i szmuglowane z Brazylii. Raz rozpoczęta produkcja kauczuku rozwinęła się z nieprawdopodobną szybkością, zmieniając zasadniczo warunki gospodarcze, społeczne, ludnościowe i polityczne na półwyspie.

Konieczność wielkiej ilości rąk do pracy przy uprawie hevej i obróbce kauczuku sprowadziła na półwyspie licznych emigrantów z głodujących Chin i Indii. Dziś, na prawie sześć milionów ludności, rodowitych Malajów jest zaledwie dwa i pół miliona. tyłuż Chińczyków i około miliona Hindusów.

W ostatnich latach zaobserwowano silną imigrację z Indonezji. Nowi ci

przybysze, niewiele różniący się od miejscowej ludności, szybko się asymilują. Element ten jednak wzmocnił znakomicie budzący się na pół wyspie ruch narodowo-wyzwoleńczy Antyjapoński ruch podziemny i walki partyzanckie scementowały wspólne dążenia wolnościowe Malajów. Zdając sobie z tego sprawę rząd brytyjski już w 1946 r. zaproponował

Prawdą jest, że zarobki na Malajach są wyższe niż w sąsiednich krajach a zwłaszcza w Indiach, Burmie i w Indonezji. Najważniejsze miasta połączone są siecią dobrych szos. urzędnicy są mniej przekupni, niż gdzie indziej. Jest więcej szkół i szpitali. Ale Malajczycy widzą równocześnie, jak się obcy biali bogacą na wywozie cyny i kauczuku, podczas



zjednoczenie wszystkich państewek malajskich w tzw. „Federację Malajską” i po długich targach z krajowymi władcami oraz „Narodowym Zjednoczeniem Malajskim” projekt ten został opracowany i wszedł w życie 1 lutego 1948 r.

Każde państwo wchodzące w skład „Malajskiej Federacji” rządzone jest przez własnego panującego, radzę lub sultana, w porozumieniu z Wysokim Komisarzem Brytyjskim, od którego zależą również siły zbrojne kraju. W praktyce Wysoki Komisarz wraz ze swą radą przyboczną, decyduje o wszystkim, z wyjątkiem spraw religijnych i obyczajowych.

BRYTYJSKI GŁOS ROZSĄDKU

WSPOMNIANY już H. Carlton Greene tak pisze o obecnej sytuacji politycznej na Malajach:

„Malajska dżungla będzie pochłaniać nasze wojska dywizja po dywizji, niby gigantyczna gąbka. Walka z malajskim „Ruchem Ludowym” i partią komunistyczną może się zakończyć dopiero wówczas, kiedy ludność malajska be-

gdy wielu tubylców wciąż jeszcze leży w szpitalach jako ofiary niedożywienia i zbyt ciężkiej pracy. Nigdy najzdolniejszy urzędnik, inżynier, czy technik malajski nie dostaje ćwierci tej pensji, którą otrzymuje biały specjalista.

A jak wygląda prestiż białego człowieka po kompromitacji „niezdobytego Singapuru” w 1942 r?

Nie ma więc wojny na Malajach według zapewnien oficjalnej pras brytyjskiej. Są tylko „zamieszki” „bandytów” i „terrorystów” w mundurach, choć kilkadziesiąt tysięcy brytyjskich żołnierzy od trzech lat z nimi walczy. W dodatku bezskutecznie.

H. Carlton Greene tak kończy swój artykuł:

„Wojna, która trwa na półwyspie malajskim, coraz bardziej staje się podobną do walki narodu o swoją niepodległość z przemocą kolonizatorską białych. Jeśli kiedykolwiek walka wymagała obecności nie żołnierzy, ale polityków, to właśnie ta, która rozgrywa się dziś od Singapuru, poprzez Dżohor, Keddan Trengganu, Perak aż



„Produkcja kauczuku rozwinęła się z nieprawdopodobną szybkością”...

dzie miała coś własnego, coś, czego żechce bronić, innymi słowy, własną ziemię i własny kraj”.

A przecież o nic innego nie walczą owi malajscy „terrorystki” i żołnierze Czeng-Pinga.

do Kuala Lumpur i Selangor a która bez natychmiastowych głębokich przemian społecznych i politycznych trwać może wieki całe i zakończyć się naszą definitywną klęską”.

Jan Pogorski

I

CZARNE pogóry, najezone smrekami, siną mgiełką zadymione szczyty, żółte polećka ściernisk, granatowe bruzdy wawozów, zielone łąki, czerwone dachy domów — wszystko obraca się zwolna, jak bogata karuzela, kokietująca gapiołów swymi powabami.

Pociąg przechyla się łagodnie na boki, dudni kołami coraz wolniej, leniwiej, dostojniej i gdyby nie nerwowa zadyszka sapiącej z wysiłkiem lokomotywy, zdawałoby się że za chwilę przystanie i poczęnie się rozglądać ciekawie wokół.

Zasypiałem już po raz dziesiąty. Piękno defilującego krajobrazu przedzierano się do mej świadomości raczej w formie wyrzutu, unicestwianego rychło zwierzęcym zmęczeniem. Pracowałem ostatnio dużo i tygodniowy urlop, wyproszoney w redakcji, był aż nadto konieczny.

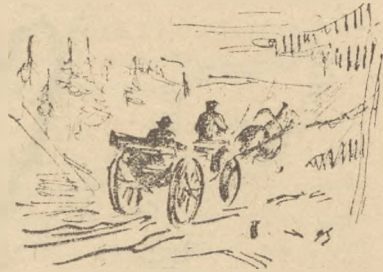
Cieszyłem się, że spędzę go tak przyjemnie. Wszystko zawdzięczałem poczciwej ciotce, która miała w tych okolicach znajomego gazdę, niezwykle jej oddanego z powodu usługi, wyświadczonej mu przez nią w czasie okupacji. Nie można było urządzić tego lepiej. Cicha wieś na Podhalu, oddalona od kolei o siedem kilometrów, domek w jodłowym gaju z widokiem na rzekę, lasy, wzgorza, samotność...

Dojeżdżaliśmy do Poronina. W kieszonki pośpiesznie zapinanej marynarki zaszeleściła koperta, do mnie adresowana, w której mieściły się te cuda. Nie brakło w niej nawet powozu, zaprzęzonego w parę koni. Mają oczekiwać na stacji.

Tak rzeczywiście było. Ciotka musiała dokładnie opisać gospodarzom moja figurę, bo gdy wychodziłem z dworca, od najbliższego „fiakra” oderwał się jakiś człowiek i sięgając po walizkę, zapytał:

— Pan do Ustupskich?

Potwierdziłem skwapliwie i za chwilę już rozsiadałem się wygodnie na miękkim, skórzanym siedzeniu, podczas gdy woźnica, umieszcwszy moją walizkę na koźle, ruszał z miejsca. Nie wiedziałem, kim on był i zapomniałem się z nim przywitać, zresztą nieznamy o to nie dbał. Znużenie podróżą w przepelnionym pociągu wylazło ze mnie wszystkimi porami. Oparłem głowę na faldach złozonej budy i poddałem się nawracającej fali senności, której nie ploszył świeży powiew wiatru, płynący od gór. Konie kłapały miarowo, powóz kołysał się na wyboistej szosie. Byłem zadowolony, że powożący chłopak o nic mnie nie zagaduje, w przeciwieństwie do wsiowych furmanów, którym zdarza się przewozić gości z dalekiego świata. Zapadając w drzemkę, starałem się jeszcze wyobrazić sobie dom, do którego



jechałem i jego gospodarzy. Ciotka zapewniała, że będą się czuć zupełnie swobodnie. Ustupski pochodził ze starego rodu podhalańskich górali. Był oblatany w świecie, inteligentny, bardzo zapobiegliwy, wykształcił dwóch synów. Jeden nawet został inżynierem. A drugi...

Z tym drugim jest coś niewyraźne. Ciemny kształt, wymykający się z pamięci. Ach, tak, kierował się przecież na księdza. Otrzymał cztery mnięjsze święcenia i rękował świetne nadzieje. Tylko, niestety, zaplątany w konspirację, dostał się do Oświęcimia, skąd wprawdzie wrócił żywy, ale ciężko chory nerwowo. Był w różnych sanato-

Tadeusz KORDYASZ

riach. Przebywa teraz na kuracji w Koberzynie. Szkoda go. Trzeba będzie wyrazić współczucie rodzicom — pomyślałem, zasypiając na dobre.

II

OBUDZIŁY mię piskliwe głoski, nacierające z bardzo bliska. Przejeżdżaliśmy obok szkoły. Na podwórzu stały wokoło dzieci. Wewnątrz kręgu biegła drobny truchcikiem dziewczynka z poważną miną. Mysi ogonek warkocza uderzał czerwoną kokardą po plecach.

Jedzie, jedzie pan Zelman, jedzie, jedzie jego pan.

Jedzie, jedzie cała rodzina jego — śpiewał rozkrzyczany, niesforny chór. Pociąg się ruszył i wyczęły. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Jechaliśmy wolno brzegiem strumienia, usianą piargiem, kamienistą drogą. Rozglądałem się po chatkach, przyczepionych do obu zbocz falistych wzgórz i zgadywałem, która z nich będzie moim mieszkaniem. Zielone, kopulaste pagóry płęły się wysoko, aż pod modre niebo. Siwe gonty połyskiwały poprzez gałęzie wierzb. Czarno-zielone jodły wybiegały nam na przeciw z pobliskiego boru. Było ciepło.

Uderzyło mię że woźnica jest ubrany w palto czy kubrak z barankowym kołnierzem. Zgarbione plecy nie pozwalały mi zobaczyć jego głowy, ale był chyba młody.

— Wiata, wiata! — powtórzył kilkakrotnie z flegmą, jakby sepleniac, a konie skreśliły w lewo. Naszła mi chęć rozinowy, toteż zagadnąłem:

P O M Y Ł

— Ładnie tu u was. Będzie chyba jutro pogoda, co?

Nie otrzymałem odpowiedzi. Plecy ani drgnęły. Sądząc, że słowa utonęły w szumie potoku, zapytałem głośniejsze:

— Daleko jeszcze?

Ten sam skutek. Woźnica był widać głuchy. Zresztą odpowiedź okazała się zbędna. Werżnięta głębokimi koleinami w gliniasty parów droga, którą zaczęliśmy się wspinać pod górę, zawiodła nas prawie przed same odrzwia sporego domu z werandami, wrośniętego w odłam krzeszanicy, nachylonej nad potokiem. Konie stanęły. Woźnica, nie odwracając się do mnie powiedział:

— To już. Może pan wysiąść.

Głos był tak obojętny, tak odarty z wszelkiej barwy ludzkiego dźwięku, że wysiadłszy, postąpiłem parę kroków naprzód, aby zajrzeć w oczy furmanowi. Zobaczyłem twarz ziemistą, napuchłą, rozmazującą się w czarnym zaroście. Oczy tkwiły w niej nieruchomo, jak szklane gałki w głowie wypchanego płaka. Nie ruszał się z koźla. Zakłopotany baknąłem: „dziękuję” i sam wyciągnąłem mu spod nóg walizkę. W tej samej chwili drzwi domu się otworzyły i stanął w nich rostry mężczyzna, ogorzały, o rysach ostrych i siwych zupełnie włosach. Ubrany był w lnianą koszulę, kamizelkę, spodnie z grubego sukna, silnie opięte i zachodzące aż na stopę, ozdobione granatowym lampasem. Piękne parzenice na udach wytarły się już i spłowiwały. Odebrał mi z rąk walizkę i krzepko uściśnął podaną dłoń.

— Witajcie, witajcie, jestem Ustupski, proszę dalej. Nie wyprzęgaj jeszcze — zwrócił się do chłopca na koźle — pojedziesz po cukier. Jest cukier w spódnicy.

Weszliśmy do izby. Zauważyłem, że gospodarz jest czymś zanlepokoiony.



— Nie mogłem po was wylechać — usprawiedliwiał się — bo miałem zebrane Samopomocy. A jak tam podróż? Zmęczycie się, panie, trochę? Czy... czy Wiktor nie opowiadał panu jakichś głupstw?

— Wiktor?

— No tak. To jest mój syn. Wrócił z zakładu... z Koberzyna. Niedawno go stamtąd zabrałem. Wiele, stracił zdrowie. Cztery lata w Oświęcimiu. Leczyli go. Niby jest lepiej, ale...

Zakreślił sekantem palcem kółko na czole i westchnął.

— Na to chyba nie ma lekarstwa.

— Ach, tak, to on! Płała mi ciotka. Nie, był bardzo grzeczny — oznaczyłem gorliwie — tylko nie odzywał się do mnie wcale, myślałem, że jest głuchy.

— Nie, słyszy wszystko. Ale on tak potrafi. Jak dobrze pójdzie, to i z tydzień nie puści pary z ust. Milczy, jak jaka ryba. Coś go nachodzi. Nie zagada do człowieka ani słowem. Tylko będzie laził, całym dniami i nawet nocą będzie laził. Niechno pan się przecie nie turbuje, on nie szkodzi nikomu. Trochę mi pomaga. Zaczyna nawet fiakrować. Mam nadzieję z żoną, że praca może go wyleczy.

Te wszystkie zastrzyki to diabła warte.

— Często go nachodzi ta niemota?

— Prawie... prawie zawsze. Tylko niekiedy, późno wieczorem, coś się w nim odkręci i zaczyna gadać. Mój Boże, gada wtedy, jak ksiądz z ambony, jak z książki. Zdolny był przecież, pobożny. Choć teraz... nie chce chodzić do kościoła. I nie wiem nawet, czy mówi pacierz kiedy. To najgorsze. Moja to już oczy wyplakała. Wiadomo, ciężko na niego patrzeć. No, nie będzie on wam wchodził w drogę, ja mu zapowiem...

— Ależ nie, dlaczego, chętnie go poznam bliżej.

Powiedziałem to nieszczerze.

Przy skromnej wieczerzy, do której zasiedliśmy niebawem, Wiktor nie było. Gazda wypytywał mnie o Warszawę i opowiadał o swoich przygodach w Norwegii, do której go los w czasie wojny zapędził. Jego żona, mała kobieta o chudej, zniekanej twarzy, nie brała udziału w rozmowie.

III.

CIOTKA mówiła prawdę. Trudno było wyobrazić sobie lepsze warunki dla wypoczynku po nerwowej pracy i nieprzespanych nocach. Gospodarze, widać uprzedzeni o moim stanie, nie narzucali mi się swoim towarzystwem. Gazdżina przynosiła na górę posiłki, do schludnego pokoiku o ciemnych ścianach z jodłowych, pachnących desk, do którego nie dochodził żaden odgłos, prócz kojącego szumu górskiego potoku. Okno wychodziło na południe. Za czarnymi sylwetkami świerków majaczyły w błękitnej mgie szczyty Tatr. Sufit, jak to bywa na poddaszu, załamywał się spadziście w połowie z obu stron okna i leżąc na łóżku, mogłem co dotknąć rękoma. Bardzo to lubiłem. Wydawało mi się, że mieszkam pod namiotem lub w kabinie okrętu, który mię oderwał od stałego ładu.

A jednak nie czułem się dobrze. Mimo ogarniającej mię w dzień senności, nie mogłem w nocy spać. Długie spacery po świeżym powietrzu, męczące wspinaczki na strome perle nie przynosiły oczekiwanego rezultatu. Starałem się tłumaczyć to zmianą ciśnienia, ale wiedziałem, że przyczyną mego niepokoju jest coś innego.

Cheąc nie chcąc myślałem ciągle o nieszczęśniku, z którym spałem, a raczej nie spałem pod jednym dachem. Bo on też nie spał. Noc po nocy słyszałem jego kroki, którymi przemierzał swój pokój, położony naprzeciw mego i oddzielony tylko wąskim korytarzem. W ciągu dnia nie zdarzało mi się go widywać. Raz tylko spotkaliśmy się na schodach. Ja wchodziłem, a on schodził. Stanałem żałowany. Oczy jego miały ten sam bezmyślny wyraz, który mię uderzył zaraz po przyjeździe. Patrzył na mnie i uśmiechał się bardzo smutno. Czułem, że chce coś powiedzieć. Jakaś myśl orała jego czoło ruchliwymi bruzdami, kąci ust drgały. Już miałem zamiar przedstawić mu się, oczekując, że on to samo zrobi, gdy powiedział:

— Ja wiem, kto pan jest. Ale pan nie wie, kim ja jestem. I nie dowie się pan. I to lepiej, lepiej... Machnął beznadziejnie ręką i zszedł szybko.

Było to czwartego dnia mego pobytu u Ustupskich. Za trzy dni miałem wracać do Warszawy i zacząłem myśleć o tym z przyjemnością. Nawet zamierzałem swój wyjazd przyspieszyć. Sąsiedztwo

Przed wschodem słońca

O ile miasto polskie w czasie okupacji było tematem, oprócz wprost ilości utworów z zakresu powojennej prócy artystycznej, o tyle sprawy wsi w tymże okresie stały się przedmiotem zainteresowania kilkunastu bodajże pisarzy. (Mam tu oczywiście na myśli pisarzy chłopkiego pochodzenia, dla których życie chłopca to nie tylko materiał do powieści, ale życie ich najbliższych, życie ich samych.) Wiś w obliczu wroga przedstawił Pietak, pisał o niej Zaleski („Broni”), wspominał okres okupacji i Olcha w swym „Moście nad urwiskiem”, uczynił to wreszcie z pasją polityka-działacza chłopkiego Ozga-Michalski w „Ludowym potoku”, Józef Pogan i Julian Gałaj.

Powieść Edwarda Marca pt. „Słońce wchodzi” to w pewnym sensie jak gdyby kontynuacja dzieła Michalskiego. Jest to, choć może nie tak naelektryzowany ładunkiem ideologicznym jak „Ludowy potok”, utwór polityczny, o tendencjach zarysowanych wyraźnie, niestety może nawet ze szkoda dla epiki. Jak to słusznie zauważono, treścią tej powieści jest walka. Zapominano jednak dodać, że również i cierpienia. I kto wie, czy Marcepolityk nie ustąpi pierwszeństwa Marcowi-artysty, choćby za cenę modlitwy starej Domagaliny?

Marcepolityk, stojąc twardo na gruncie radykalizmu chłopkiego i eo ipso walki klasowej, ukazuje nam swego bohatera pozytywnego — biedotę wiejską spod Krakowa i na konkretnym przykładzie rodziny Domagalów udowadnia, iż okupant hitlerowski nie jest też biedoty jedynym

wrogiem. Biedotę otacza i gnębi bogacz wiejski, tak samo w okresie okupacji jak i w latach międzywojennych. Odwieczny konflikt społeczny między Domagalami a Kowalskimi ciągnie się niezależnie od przemian dziejowych i kataklizmów politycznych w kraju. Nawet rok 1944 nie kładzie mu kresu. Przeciwnie, walka klasowa na wsi przybiera na sile, wchodząc w fazę decydującą. Ta myśl przewodnia wspólna dla wszystkich powieści chłopskich, poczynając od Kruczkowskiego a kończąc na Marcu, u tego ostatniego otrzymała, nader udaną szatę artystyczną, co jest tym godniejsze uwagi, że mamy do czynienia z debiutem powieściowym. Debiutem niewatpliwie interesującym. Proza Marca jest prosta, oszczędna w wyrazie. Postacie zarysowane może nieraz zbyt szkicowo, ale wystarczająco dla zainteresowania najistotniejszymi cechami ich osobowości. Epizody, z których na szczególne wyróżnienie zasługują, uwolnienie transportu przez partyzantów, wysadzenie pociągu z amunicją, spalenie wsi w ramach „bacyfikacji” hitlerowskiej czy wreszcie kapitalna scena wesela — łączą się w całość mającą swoją wymowę bez sztucznych podpórek deklaracyjno-ideowych, których autor świadomie (i słusznie) unika. „Stronniczość” Marca — jeśli można tę rzecz tak nazwać — występuje w rysowaniu sylwetek tworzących grupę zbiorowego bohatera pozytywnego, którym, jak już zaznaczyłem, jest biedota wiejska z Wydartowa. Najbardziej ciepłymi barwami maluje autor postaci dwóch czynnych bojowników o sprawę chłopską, sprawę wolności politycznej i społecznej, Pietrka Domagalę i Adama Sroki. Ci przetrwają noc okupacji i staną na czele swej gromady, kiedy to rusza bracia ziemię w posiadanie. Okresu tego nie przeżyje natomiast stary Domagała, któremu życie przeszło na wysługiwaniu się Kowalskiemu. Śmierć zastała go przy ciężkiej, ponad siły schorowanego starca, pracy. Nie wchodzi słońce wolności dla okrutnie zamordowanej żony Sroki, ale ujrzy je zmaltretowana przez życie stara Domagalina,

matka wywiezionych na roboty córki i syna Pietrka, ukrywającego się po ucieczce z obozu, wdowa po zmarłym z umęczenia najemniku wiejskim. Realizm Marca nie ulak się nakreślenia przejmujących słów modlitwy tej prostej kobiety, której życie znacząco się nędzą i cierpieniem. Domagalina wie, że spierając się z Panem, buntując się przeciw swej krzywdzie, a jednocześnie wierzy, iż Bóg może odmienić losy ludzkie, jeśli nie jej najbliższych, to setek tysięcy innych matek, ojców i dzieci...

„Za co mnie, Boże, tak strasznie karzesz?... Człowiek cierpi, morduje się, robi jak koń, cieszy się, gdy na chleb zapracuje i dzieci nie są głodne... A tu jakiś szatan wywoła wojnę, zdepcze narody i rozkazuje, pomagaj! Dałam jedno dziecko — mało! Druzgie jeszcze nie dorosło, a już wolała, przyprowadź! Po to nosiłam je pod sercem, kołysalam i pieściłam?... Boże Wszchemogący, który wszystko widzisz... Spraw, niech ramię Twoje zgniecie sprawcę wojny i uciśnij bój na ziemi. Aby na świecie zapanowała zgoda między narodami i człowiek był człowiekiem bratem! Spraw to!”

Tak oto epizodyczna postać starej Domagaliny, matki chłopskiej, przez swą modlitwę — wołanie o braterstwo między ludźmi, o pokój — nabiera cech symbolu, dodając utworowi Marca wiele aktualności w dobie walki o pokój, walki przeciw tym, którzy pragną przelewu krwi i zniszczenia.

Wreszcie — wracając do techniki pisarskiej autora powieści „Słońce wchodzi” — należy zaznaczyć, że ominięty przez większość dialogów gwarowych, wyposażony swych bohaterów w język prosty, jedyny, okraszony „przymówkami” i dosadnymi określeniami. Język skrzący się dowcipem, niekiedy zaś pełen powagi albo i tragizmu.

Swobodę narracji dają Marcowi nie tylko jego osobiste walory dobrego startującego pisarza, ale i — w wielkiej mierze — duża znajomość opisywanego terenu, obyczajów i typów ludzkich, związanych ze wsią podkarpacką. Na marginesie trzeba wspomnieć, że książka Marca odznaczona została pierwszą nagrodą Ministerstwa Kultury i Sztuki za rok 1951. G. K.

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet

Lubelski

*) Edward Marzec — „Słońce wchodzi” — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza — W-wa 1951. Str. 299.

ENIEC

chorego ciążyło mi coraz więcej. Nie powiem, że bym go się bał. Nie mogłem tylko przestać o nim myśleć. Razem z jego twarzą wtargnęły do mojego zacisznego pokoiku wszystkie okropności hitlerowskiej okupacji, które się przecież zaciebrały już w naszej pamięci. Tragiczne wspomnienia poczęły mię nękać. Gdy udawało mi się zasnąć w nocy, głuchy warkot samochodu na szosie podrywał mnie na równe nogi. Zdawało mi się, że pod dom zajeżdżają budy z żandarmami. Urazowa pozostałość po warszawskich łapankach odżywała z powrotem.

IV.

POGODA, która się nazajutrz popsula, sprzyjała moim planom. Usprawiedliwiła moją chęć wyjazdu i jakby ośmiadła żal o puszczeniu uroczej okolicy. Niebo się zaciągnęło chmurami, góry zaś słońcem szary pył.

Tej nocy nie mogłem spać zupełnie. Ni z tego ni z owego nadbiegł gwałtowny wicher i rzucał się z pasją na dom. Począł walić w dach jak w bęben, szarpać oknami, które z trudem zamknąłem. Zdawało się, że chce polamać od razu wszystkie wiązania. Naciągał boleśnie krokwie, aż trzeszczały. Zmęczony wysiłkiem przysiadł na chwilę i znów atakował, jeszcze wścieklej niż. Prychał, warczał, gwizdał, wyl. Chciał poderwać całą budowlę do góry, ale dom się nie dawał, widać zahartowany już w takich bojach. Wiatr grzmocił go więc potwornymi łapami, przysięgał do ziemi. Wydawało mi się, że dom jęczy, drży w posadach, podskakuje z hukiem, jak wóz na kamieniach i kołysz się, jak barka, która za chwilę zatoni.

Wstałem i przekręciłem kontakt. Wyciągnąłem z walizki książkę. Zarówka pod pułapem płonęła żółtym, przyćmionym światłem, mru-gała, wreszcie zgasła. Na komodzie stała lampa, przypomniałem sobie o niej z ulgą. Zapaliłem ją razem z papierosem i zagłębiłem się w czytanie „Opowieści o prawdziwym człowieku”.

Mimo świstu i huku usłyszałem delikatne pukanie do drzwi. Mówiąc: „proszę”, byłem już pewien, że wejdzie on. Zatrzymał się nieśmiało na progu.

— U pana światło... Przewody przetrwane na słupie... Bardzo przepraszam.

Podniosłem się na łóżku i zrzuciłem spodnie z krzesła, podsuwając mu je, żeby usiadł. Prawie mię ucieszyło jego przyjście.

Nie skorzystał z zaproszenia, jednak zamknął drzwi i zbliżył się do łóżka. W lewej ręce ścisnął jakiś papier, zwinęty w rulon.

— Czy nie mógłby pan dać mi papierosa? Wypaliłem już swoje.

Nie wiedziałem, że pali. Podałem mu skwapliwie pudełko. Wziął dwa „lotniki” i oba razem zapalił nad szklą lampy. Gdy podkręcał knot, w sнопie żywszego blasku ujrzałem go lepiej. Był zupełnie inny, wprost go nie poznawałem. Białe policzki powlokły się rumieńcem, źrenice błyszczały. Piękne rysy, zniekształcone obrzmieniem twarzy, odzyskały swój czysty rysunek. Mylnie sądziłem go o otyłość. Ręka, obnażona do łokcia opadnięciem rozpiętego rekawa koszuli, była zupełnie pozbawiona mięśni. Gdy usiadł na krześle, usłyszałem jakby stuknięcie kości o drewno.

Czułem się nieswojo. Chciałem coś powiedzieć na temat okropnej pogody, ale wichura przycichała i przesła każde słowa wydawały mi się banalne w tej sytuacji.

Siedzieliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Wiktor zaciągnął się kilka razy głęboko i zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Wreszcie stanął. Wpatrywał się we mnie przenikliwie. Usłyszałem głos, nieopisaną siłą wewnętrznego umęczenia tętnący, głos, nie zwrócony weale do mnie, ale gdzieś w dal.

— Żeby to ja miał siłę jeszcze...

Chciałem znów coś powiedzieć, o coś zapytać i słowa zamierały mi w gardle. Wiedziałem, że stoję blisko tajemnicy, której niegodzien jestem odkrywać. Strzęp człowieka, krzyżący symbol wielkiej zbrodni, przepiętna mię zgrozą. Wiatr szarpał oknem i łomotał w blachy nad naszymi głowami. W końcu, gdy nieznośne milczenie przeciągało się, odezwałem się głupio:

— Pan nie może spać. Ja też. Może dać panu jakąś książkę do czytania? Służę lampą. Może pan ją zabrać, jest mi nie potrzebna.

Wiktor wstał z krzesła. Rzucił gwałtownie:

— Po co czytać? Przeczytałem dosyć. To, to... Czy warto tak cierpieć? Po co jest to wszystko? Nie! Nie zmienia się nic!

Rozłożył rulon, który ciągle trzymał w ręce i podsunął mi pod nos. Była to gazeta. Pierwszą kolumnę zajmował artykuł, informujący o udziale katolików niemieckich w neohitlerowskim ruchu odwetowym. Nazwiska pewnych dostojników kościelnych i księży podkreślały czerwone linie. Poznałem tę gazetę. Dałem ją przedwczoraj gazdzie, razem z tygodnikami, które umilały mi jazdę pociągami.

V.

ZMIĘTY arkusz papieru ciężko upadł na koldre. Wiktor zaczął mówić. Słowa płynęły mu z ust szybko, a ja słuchałem go, porażony zdumieniem. Czy to ten sam człowiek mówił, który mię przewiozł tu ze stacji parę dni temu? Zdawało mi się, że mającę, ale nie śmiałem nawet dłonią przesunąć po czole. Skąd wzięła się w moim pokoju ta postać?

Nie zwracał się do mnie. Osoba moja była tylko okazją, bodźcem, do tragicznej spowiedzi. Mówił sam do siebie, do swojej duszy, do kogoś nieokreślonego. Może do całego wszechświata, trzymającego w bezkresnym łonie te cztery nagie ściany izby, którą wymierzał gorączkowymi krokami, niby chory zwierz klatkę.

Opowiadał swoje przeżycia w obozie. Malował wstrząsające obrazy, przy których blade wszystko, co na ten temat przeczytałem. Mowa jego, jak nurt górskiej rzeki, rzucającej się przez urwiste proggi, poszarpana była i chaotyczna. Miejscami się tylko wyrównywała, płynęła spokojnie, dziwiąc doskonałością i celnością wyrazu. Trudno mi było uchwycić sens wielu zdań. Dygresje teologiczne raz wydawały mi się bardzo głębokie, raz całkiem niedorzeczne. Rzucał we mnie z pasją rzeczowniki, jak groty, wyrwane wraz z dymiącymi trzewiami. Utrażniejszał przeszłość — czas dla niego nie istniał. Nieubłagany praesens historicum trzymał mię w nieustannym napięciu, zamykał w kręgu niesamowitej wizji lokalnej. Rany jego ciągle widać krwawiły, niczym niezabliżnione.

Objawiała mi się prawda straszliwa. Potworność zeznań urzekała mię i odpychała. Szaleństwo męczarni tego człowieka, żywem wobec mnie krajanego na operacyjnym stole, przy którym młodsze lekarzy zajęły demony, rozsadało moją wyobraźnię.

rys. Jerzy GORAZDOWSKI

VI.

— Hans — Niemiec, komunista — szeptał mi w ucho, zbliżając się w ciągłej wędrówce tam i z powrotem do łóżka. — Hans nie wierzy w Boga. Pomaga mi żyć, przynosi chleb. Trójkąt — symbol Boga. W trójkącie Oko Opatrzności i złote promienie tam, nad ołtarzem naszego kościoła. Nie wejdę tam nigdy, nie odprowadzę mszy. Mam z Hansem na ramieniu jednakowe trójkąty. Czerwone. Koloru krwi.



Noc zimna, księżyc, gwiazdy. Za chwilę apel, dla niego ostatni. W cieniu baraku śmierci, oparci o deski, pół żywi. Obok bieleje stos trupów. Góra wysoka, wysoka! Ciało — szkielety — sine, zielone. Poplątane ręce, nogi, głowy. Połamane, niepotrzebne, wyrzucone na śmietnik pajace. Wyciekło z nich życie, wykapało człowieczeństwo do ostatniej kropli. Dobra robota.

Hans wie. Jutro padnie na ten stos. Jutro selekcja. Nie może już chodzić. Patrzę na jego pasiak. Łachman, pokryty śladami wszy i pcheł, zbrudzony krwią, ropą. Łajnem śmierdzi łajnem. Durchfall. Twarz — nędzna maska — skorupa potu i kurzu, napęczniała wrzodami. Ręce — piszczele, palce — szpony. Oczy żywe, zawzięte. Nie rezygnuje, pracuje w konspiracji, wierzy. Wierzy, ale nie w Boga.

Mrok jasny. Daleko na niebie, śnieżna linia gór — tam pięknie, tam Bóg, przed Nim stanie jutro Hans. Ja go chcę nawrócić przed śmiercią. Mówię mu o religii — jedyny ratunek przed tym piekłem, ale on: „Czytałem listy naszych biskupów. Błogosławili Führera. Właśnie z racji swej wiary, jako chrześcijanie, żyć musi zwycięstwa. Daj pokój. To wszystko blaga”. Nie mogłem nawrócić Hansa.

I cóż ja, cóż ja? Może, gdyby na moim miejscu siedzieli przy Hansie owi biskupi... Wtedy mu nie wierzyłem, a dziś... Gdyby to oni z nim umierali — i jego śmierć byłaby inna!

Nie mogłem nawrócić Hansa — powtórzył żałośnie — bo i ja, czy ja wtedy wierzyłem naprawdę?

Ostatnie słowa wykrzyknął z akcentem rozpaczony i chodził znów po pokoju, oddychając ciężko.

— Ech — podjął cicho — aby się modlić, trzeba czegoś jeszcze oprócz Łaski. Trzeba natury. A oni trafili nas celnie, śmiertelnie. Natura nasza popsula się. Zgniła w samym jądrze Łaska nie ma co ulepszać. Materiał nie nadaje się do obróbki. Łaska zamiera, jak roślina w byle lodu. Gąsienie, jak pochodnia pod kłosem. Klosz, hermetyczny klosz bez powietrza! Diabelskie laboratorium! Wyjałowiono je idealnie z zapachu wolności.

Głód! Głód apokaliptyczny! Zatrutą jadłem, miazdzy, kaleczy okrutnie! Hoduje nędzne istoty, nie-ludzi, nie-zwierzęta. Automaty głodu! Zagryzamy się o zgnięte kości, aby o dzień później utonąć w cuchnącym bagnie.

Kto to zrozumie! Kara za grzechy, pokuta, ha, ha, brednie! Łaj-

dacy kwitną na wolności, a my palimy się w piecu... my... muzukmany... ha, ha, ha!

Tracimy wiarę — nie, to ona nas traci. Przestaje się rysować w umyśle. Umysł — lustro rozbita. Struny się pozrywały. Bóg nie ma czego trącać palcami. Barwy wiary płowieją do cna, do bezkoloru, do mroku.

Nie chcę się wyzywać wiary, nie chcę! Ale jej zapominam — jak zapomniałem swego nazwiska! Jestem... jestem sto trzydzieści sześć tysięcy jedenaste, jedenaście...

Z brząskiem rodzącego się dnia poszarzała twarz Wiktora. Zgasł płomień w jego oczach. Wysunął się bezszelestnie z pokoju. Za progiem mówił coś — może przeproszał. Modliłem się do rana. Gdy gaździna przyniosła dzban z wodą do mycia, zapadłem w sen.

VII.

OBUDZIŁEM się z niecierpliwą myślą, aby porozmawiać z Wiktorem. Czulem jego udrękę w sobie i chciałem mu przecież pomóc. Czyżby nie wiedział o męczeństwie biskupa Kozala, o bohaterkiej śmierci tylu naszych księży w Dachau? Jego gehenna nie jest daremna. Zwróć mu uwagę na to, co się robi dzisiaj na całym świecie w obronie pokoju, na przemiany, zachodzące we wschodnich Niemczech. Bóg jest miłośnikiem.

Wiktor bez wątpienia ma umysł nie w porządku, ale jaki nieprzejętny umysł! Miałem nadzieję, że trafię jakoś do jego psychiki. Po tej nocy nie uważałem go już za wariata. To, co mówił o Łasce, to naturalnie jakieś chorobliwe obsesje.

Stolik pod oknem był zastawiony kubkami i talerzami. Gospożyńni zdążyli już przynieść śniadanie i obiad, podczas gdy ja spałem. Mój zegarek wskazywał trzecią.

Zjadłem coś nie coś, umyłem się, ubrałem i wyszedłem na poszukiwanie biedaka. Znalazłem go na podwórku. Stary majstrował przy obórcie. Wiktor podtrzymywał świeżą deskę, którą ojciec przybił do szczytu. Przywitałem się z nimi i poczekałem, aż skończą swoją robotę. Potem spytałem Wiktora, czy nie zechciałby udać się ze mną na przechadzkę. Nie odpowiadał na moją propozycję. Gazda się wtrącił:

— No, idźże z panem, jak cię proszą.

W głosie ojca czaił się rozkaz, który nie pozostał bez skutku. Szliśmy obok siebie ścieżyną, spadającą łagodnie w kierunku kościoła. Ciepło było znów i chmury przesłaniały słońce. Wiktor patrzył w bok, unikając mojego wzroku. Czy miał metne, bez wyrazu. Na przekór omieszczeniu, które coraz więcej mnie ogarniało, zacząłem mówić. Wyrecytowałem wszystko, co ułożyłem sobie w głowie po obudzeniu, jak zadana lekcja. Nie zarsagował w żaden sposób, nie wiem nawet, czy moje słowa dochodziły do jego świadomości. Przestałem więc mówić i schodził limy dalej w kłębiącym, nieprzyjemnym milczeniu.

Za czołkami mijanej chaty mały chłopak, wspinając się na poziomą żerdź ogrodzenia, pokazywał nas palcem drugiemu wyrostkowi. Usłyszałem śmiech i dobiegły mię słowa:

— Patrzajno, ten pomyleniec od Ustupskich idzie z jakimś gościem. Głupi, na syra!

Spoglądałem od czasu do czasu na mego towarzysza i usiłowałem przeniknąć dziwną chorobę, która trawiła jego siły żywotne. Była to zapewne neurastenia, posunięta do najdalszych granic. Pomimo

myśli, zatopionych w przeszłości, mimo wyrzucanych z furją wynurzeń, które nosiły w sobie namiona obłąkańczych manii, mimo tego teraz milczenia, nie mogłem uwierzyć, aby ta czarna głowa, schylona do ziemi, wzięła umysł zatruty obłąkaniem. Nie godziło się to z byskawicami, które z niej wystrzelały ubiegłej nocy. Choroba tkwiła w ciele, może w najtajniejszym mięszu nerwów, usychających, jak przepalone zlym ogniem korzonki młodego drzewa.

Ale gdzie szukać ratunku na tę chorobę? Czy medycyna jest tak bezzilna? Jesienne słońce złościło zbocza falistych wzgórz. Ciemną zielen świerkowego lasu, zaścieniającego dolinę, rozplamieniały tu i ówdzie czerwono-żółte plamy buków.

Spokojnym powietrzem targnęło głośnie, natarczywe wołanie dzwonów. Radosny dudźwięk rósł, nabrzmiewał huczącym akordem, bogacił się na ścianach wzgórz w nowe echa, rozkłęsał całe niebiosy. Uszy i wszystkie tkanki ciała syciła harmonijna wibracja.

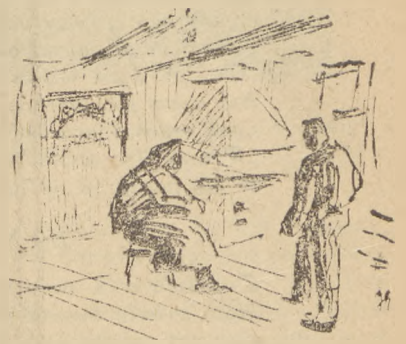
Zatrzymaliśmy się jednocześnie. Nie uświadamiałem sobie, dlaczego to normalne zjawisko tak mię poruszyło. Opodał kościoła... Dzwonili pewnie na nieszpory.

Zamierzałem zapytać o to Wiktora, gdy jego niezwykła postawa zamknęła mi usta. Stał skulony, z rękoma uniesionymi do góry, jakby chciał się nimi obronić przed napływającymi dźwiękami. Zwolna się wyprostowywał, unosił na palce. Myślałem, że gotuje się do skoku. Rozwarło szeroko oczy, wyrażały trwogę i jakąś decyzję. Nagle zaczął szybko zstępować ze zbocza, prawie biec i rychło zniknął za pierwszymi drzewami.

Krzyknąłem kilkakrotnie, a kiedy się nie zatrzymał, zbiegłem jego śladem. Bałem się, żeby sobie nie zrobił czegoś złego. Nie udało mi się go odnaleźć, chociaż błądziłem kilka godzin w nieznanym borze, pohukując, aż do zachrypienia. Nie zobaczyłem go już więcej.

Gdy wróciłem o zmroku do mieszkania, nie zastałem nikogo, prócz gaździny, która siedziała pod piecem w kuchni i popłakiwała cicho. Długo nie odpowiała na moje alarmujące pytania pochlipując i powtarzając:

— A taki był zdolny, taki silny, taki piękny...



Aż wreszcie dowiedziałem się od niej, co się wydarzyło. Nieszczęście, wstyd okrutny! Wiktor poszedł do kościoła. Ubrał się w kmitę, która zabrał ministrantowi przed samym nabożeństwem. Proboszcza jeszcze nie było. Wtargnął na ambonę i zaczął nawoływać ludzi do modłów o nawrócenie takich biskupów i księży niemieckich, którzy rzekomo mają pchać naród swój do wojny. Zakrytych z księdzem ledwo ściągnął go stamtąd. Zjawił się w domu w awście kilku chłopów, związanych, jak baran.

Ojciec przywołał wnet doktora. Ten zrobił mu zastrzyk i kazał natychmiast odstać z powrotem do zakładu. Trzeba powtórzyć elektryczne wstrząsy. Właśnie przed chwilą pojechali na stację, aby zdążyć na wieczorowy pociąg.

CHLEBA NASZEGO...

bowania i zaopatrzenia w środki żywności, bilansów materiałów budowlanych sił roboczych. Opracowywanie perspektywicznych planów zagospodarowywania przestrzennego województwa i powiatu.

Wymieniona uchwała mówi raczej o rozwiązaniach praktycznych i o planach dotyczących całokształtu gospodarki mniejszych obszarów administracyjnych. Ale w myśl zasady wiązania praktyki z teorią i teorii z praktyką wydaje nam się, że teoretyczne prace obejmujące całokształt gospodarki regionu, potraktowane historycznie i prospektywnie, mogłyby się wydatnie przyczynić do znalezienia najważniejszych rozwiązań praktycznych.

Jasnym jest, że procesy gospodarcze składające się na problem wyżywienia regionu muszą być rozpatrywane na tle całokształtu gospodarki nie tylko regionu, ale całego kraju. Jedno tylko zagadnienie rak do pracy dostatecznie to uzasadnia. Mimo to za wdrożeniem problemu wyżywienia przemawia fakt, że w każdym regionie i na każdym szczeblu planowania, w pojedynczym gospodarstwie chłopskim, spółdzielni produkcyjnej, majątku PGR, powiecie, województwie i całym kraju, można te badania prowadzić według jednego schematu, który by dał odpowiedzi na następujące pytania: a) jak podzielić obszar uprawny pomiędzy poszczególne kultury: zboża, okopowe, strączkowe rośliny przemysłowe, pastwiska i ewentualnie pasniki? b) jaką część przewidywanej produkcji przeznaczyć na zaspokojenie własnych potrzeb gospodarczych, a jaką na wymianę? c) jak podzielić produkty przeznaczone dla własnych potrzeb gospodarczych na żywność dla ludzi, pasze dla inwentarza i na zasiewy? d) jakie potrzeby mogą być zaspokojone z produkcji własnej, a jakie muszą być zaspokojone drogą zakupu z zewnątrz, (np. sól, nafta, pasze treściwe, narzędzia rolnicze, nawozy sztuczne lub deficytowe artykuły spożywcze).

Andrzej St. CZCIBOR

Wiersze

STYCZNIOWY LIST DO PANA BOGA

Snieg srebrem zimy zakrył oczy,
na włosy upadł biały czapa,
anteny serc gwiazdkami zmoczył
i drogi uczuć zawiął na pół.

Nie wiem jak przebrnę przez tę zamieć
i jak radosny prześlę sygnał:
„Wracaj, już wszystko tak jak dawniej
to nie powtórzy się już nigdy“.

DO NAZIMA HIKMETA

Zaglądała ci w oczy samotność
krata światła łamała jak gałęź
a ty serce wolne i myśl lotną
do Korei, Vietnamu wysłałaś.

I gdzie tylko ktoś walczył o wolność
stawiał opór przemocy i gwałtom
twoja pieśń była pieśnią polną
którą śpiewał mu wiatr — autor

I niejeden nim padł miał na wargach
twoje słowa pisane w więzieniu
wiatr urywał sylaby i targał
i szumiął sztandarem nad ziemią.

Teraz wolny chodzisz po ulicach
widzisz ludzi, odeszła samotność...
W mroku chłopiec twój wiersz przemycił,
który świat mu otwiera jak okno.

PROGRAM

Wiem — do tego jeszcze daleko,
jeszcze wiele pracy przede mną,
ale chciałbym jak z chlebem codziennym
podejść z wierszem swym do człowieka.

i powiedzieć: zbracie, weź kęs ten
no i radość twórczości powiększ!
Może chleb ten uzdrowi cię z tęsknot
i to, o czym myślisz wypowie?

(Dokończenie ze str. 4)

Wydaje się, że prace teoretyczne, będące próbą syntezy wszystkich procesów gospodarczych, składających się na sprawę wyżywienia mniejszego obszaru geograficznego, stanowiąc winny w obecnym momencie wyjątkowo wdzięczny temat prac dyplomowych słuchaczy wyższych uczelni w zakresie rolnictwa, planowania i statystyki, a przede wszystkim geografii gospodarczej. Badania regionalne, w pierwszej fazie studium o charakterze historycznym, powinny ustalić: obszar ziemi uprawnej i pastwisk, ilość rak do prac, stan techniki rolniczej, ilość inwentarza żywego i maszyn rolniczych, zużycie nawozów sztucznych, produkcję hodowlaną i rolniczą, wydajność z 1 ha gleby wszystkich plodów rolnych, spożycie najważniejszych artykułów żywnościowych na głowę ludności, kaloryczną wartość pożywienia i jego składniki (węglowodany, białko, tłuszcze itd). Niezbędnym uzupełnieniem opracowań stanu faktycznego są mapy użytkowania gleby, produkcji i spożycia najważniejszych plodów rolnych. Dopiero pewien komplet map daje prawdziwy krajobraz wyżywienia regionu.

Niewielka stosunkowo ilość prac tego rodzaju dostarczyłaby bezcennego materiału porównawczego dla geograficznego podziału pracy. Każdy nawet nie-specjalista, orientując się w różnicach problemów jakie mają do rozwiązania województwa: np. katowickie i wrocławskie, powiaty: gryficki, inowrocławski, nowosądecki czy biłgorajski, itd.

Prace regionalne nie powinny ograniczać się do analizy stanu faktycznego gospodarki badanego obszaru, ale iś dalej: przeprowadzać krytykę gospodarki regionu pod kątem najracjonalniejszego wyzyskania jego bogactw naturalnych, produkowania maksimum dóbr materialnych przy minimum wysiłku, podniesienia

jego gospodarki na wyższy poziom przez wyzyskanie nowoczesnej wiedzy i techniki, oraz nakreślić jaką funkcję badany obszar powinien spełniać w gospodarce ogólnonarodowej w interesie zarówno ludności miejscowej jak i całego kraju.

Ukoronowaniem badań regionalnych winna być synteza wszystkich procesów gospodarczych, zachodzących na terenie regionu. Jako studium prospektywne synteza przyjmuje formę planu zagospodarowania regionu, przewidującego w dziedzinie wyżywienia zaspokojenie biologicznych potrzeb każdego mieszkańca regionu oraz uzyskanie maksimum towarów do wymiany.

PLAN 6-LETNI W PŁODOZMIANIE KAŻDEGO CHŁOPEA

SCHODZĄC stopniowo na niższe szczeble jednostek terytorialnych, teoretyczne prace regionalne planowania produkcji, spożycia i wymiany powinny doprowadzić Plan Sześcioletni do zarysowania płodozmianu majątku PGR, każdej spółdzielni produkcyjnej, każdego niemal poszczególnego gospodarstwa chłopskiego. Problem planowania w gospodarstwach rolnych rozwiązuje częściowo kontraktacja roślin uprawnych, ale czyniona z roku na rok, spełnia swe zadanie tylko połowicznie. Każdy bowiem światły rolnik układa płodozmian na szereg lat naprzód i wybiera kierunek gospodarstwa zależny od warunków sprzyjających obranej dziedzinie gospodarczej. Obserwujemy, że gospodarstwa o charakterze hodowlanym, nastawione na produkcję pasz, miały np. duże trudności w dostawie zbóż kłosowych. Moż. by było usunąć wiele usterek w planowaniu, usprawnić wywiązywanie się rolników z dostaw ziemiopłodów, nie naruszając warsztatów gospodarczych na kosztowne i trudne przerzucanie się z jednej dziedziny gospodarczej w drugą.

JESTEŚMY KRAJEM MAŁYM...

GRUPUJĄC syntezy regionalne od najmniejszych do coraz większych, czyli zakreślając obszar regionu coraz dłuższym promieniem, przechodzimy od syntezy w skali pojedynczego gospodarstwa do syntezy w skali państwowej. Dochodzimy w ten sposób do opracowania teoretycznej koncepcji najlepszego wykorzystania całego obszaru kraju w dziedzinie produkcji i do najbardziej racjonalnego geograficznego podziału pracy, jak najlepszego zaspokojenia potrzeb narodu i uzyskania jak największych nadwyżek towarowych na eksport. Tego rodzaju teoretyczna koncepcja może być poważnym wkładem do opracowania planów gospodarczych, które przyjdą po Planie 6-letnim.

Oczywiście, koncepcja ta nie może być opracowana w oderwaniu od bardzo skomplikowanego i stale ulegającego zmianom mechanizmu gospodarki światowej. Polska nie jest i nie chce być samowystarczalną wyspą gospodarczą, ale czynnym udziałowcem wymiany międzynarodowej.

Tu jednak chcemy jeszcze raz podkreślić, że jesteśmy krajem małym ale bogatym, jesteśmy narodem zdolnym i posiadamy wszelkie potrzebne kwalifikacje, aby problem wyżywienia ludności Polski rozwiązać teoretycznie i praktycznie w sposób, który mógłby stać się wzorem dla innych narodów.

Podniesienie Polski, na najwyższy poziom gospodarczy — oto dziedzina, w której, na tym trudnym zakręcie naszych dziejów, powinna się wyładować cała nasza zdrowa i uczciwa ambicja narodowa.

M. T. Milewski

NOTKI KULTURALNE

W związku z przypadającą w r.b. 150 rocznicą urodzin wielkiego pisarza francuskiego Wiktora Hugo, w Paryżu został utworzony specjalny komitet organizacyjny.

W skład komitetu weszli między innymi: Jean Hugo, Paul Eluard, Henri Guillemin, Fernand Gregh, Maurice Rostand, Maurice Guyot, Julien Cain, Jean Sergent i inni.

Na Węgrzech ukazały się ostatnio przekłady dzieł trzech polskich pisarzy. Są to: Stefana Żeromskiego „Ludzie bezdomni” (tytuł węgierski „Hontalanok”); II tom książki Lucjana Rudnickiego „Stare i Nowe” oraz Janiny Broniewskiej „Mały Warszawiak” (A kis Varsói).

Nagroda Fundacji René Lust, przeznaczona dla młodych malarzy belgijskich, została przyznana malarzowi Camus.

W Ostendzie zmarł niedawno w wieku lat 65 Constant Permeke, znany malarz flamandzki.

Również malarstwo flamandzkie poniosło stratę w osobie zmarłego w wieku lat 63 malarza Carla Kylberga. Sztuka Kylberga była bardzo typową sztuką malarza północy, malarza zamglonego pejzażu.

W styczniu r.b. Ivan Olbracht, jeden z najwybitniejszych czeskich pisarzy, obchodził swe 70 urodziny. Ivan Olbracht jest autorem licznych powieści m.in. „Nikola Szuhaj”.

Na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Indach Czechosłowacka wystąpi z filmem „Zasadzka” oraz kilku filmami kukielkowymi, rysunkowymi i krótkometrażowymi.

W Moskwie została otwarta tradycyjna wystawa sztuki stanowiąca przegląd twórczości radzieckich artystów za rok 1951. W wystawie bierze udział przeszło 500 artystów wystawiając około 1300 prac.

F. Joliot-Curie, Hon. Men-ki, Kuo Mo-ko, Z. Nejedli, T. Lysenko i A. Niesmiejewa wybrani zostali honorowymi członkami Bułgarskiej Akademii Nauk. (z)

Francuskie malarstwo poniosło stratę. Umarł malarz Louis Valtat. Urodzony w 1869 r. Valtat był przynajmniej Renoiem, który wykonał nawet jego portret. Valtat był przede wszystkim krótkometrażowcem.

W Bombaju odbył się Międzynarodowy Festiwal Filmowy, w którym brało udział 23 kraje. (z)

Na Węgrzech w operze w Budapeszcie wystawiona jest obecnie „Hulka” Moniuszki. Ponadto w jednym z teatrów Budapesztu wystawiono sztukę J. Rojewskiego „Tysiąc walecznych” a w teatrze Győr „Salon pani Klementyny” A Wdrzyńskiego.

Na Węgrzech występował również Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze”. (z)

W Klossoa (Kreta) przy prowadzeniu prac związanych z budową sanatorium odkryto liczne grobowce pochodzące sprzed 3500 lat. W grobowcach tych znaleziono różne przedmioty pochodzące z tego okresu: ostrza włóczni z brązu, szable, szpilety oraz różne przedmioty garncarskie. Znalezisko to, jest jednym z najważniejszych odkryć archeologicznych w ostatnich latach.

Dyrektorem Opery paryskiej został ostatnio kompozytor Emmanuel Boudeville, dotychczasowy dyrektor teatru „Opera Comique”. Dyrektorem „Opera Comique” został kompozytor Louis Beydts.

Na Węgrzech odbył się niedawno pierwszy węgierski Tydzień Muzyki jednocześnie z Kongresem Pisarzy węgierskich. Podczas tego Tygodnia artyści muzyki przedyskutowali główne zagadnienia węgierskiego życia muzycznego, kompozytorzy przedstawili swe utwory, dając w ten sposób ogólny

przeгляд twórczości muzycznej ostatnich lat.

W Czepel, wielkiej robotniczej dzielnicy Budapesztu powstaje największy i najnowocześniejszy węgierski pałac kultury. W pałacu kultury znajdzie pomieszczenie teatr na 1200 osób, sala wykładowa na 1000 osób, teatr lalek, muzeum przemysłowe, biblioteka itp. Organizuje się również szkoły muzyczne i plastyczne.

Z dwuletniej podróży po Afryce i Ameryce łacińskiej dwaj czechosłowaccy filmowcy Hanzelka i Zigmund przywieźli dwa filmy długometrażowe i 10 krótkometrażowych.

Beniamino Gigli — sławny śpiewak włoski — wystąpił w nowej wersji muzycznej włoskiego filmu „Carmen”.

Władze demokratyczne Viet-Namu przywiązują wielką wagę do rozwoju literatury i narodowej sztuki. Stowarzyszenie artystów i literatów, które powstało w 1948 roku wydaje pismo pt. „Sztuka i literatura”. Na froncie organizuje się występy artystów muzyków, wieczory autorskie literatów oraz przedstawienia teatralne.

Rada Ministrów Karelo-Fińskiej SRR powziela uchwałę dotyczącą dalszego rozwoju kultury muzycznej w republice. Uchwała przewiduje m.in. utworzenie nowych zespołów pieśni ludowych, dziecięcych szkół muzycznych itd. (z)

W styczniu mija 100 rocznica zgonu wielkiego poety czechosłowackiego — J. Kollara. Dla uczczenia rocznicy wydane zostaną liczne prace poświęcone twórczości Kollara oraz nowe edycje jego dzieł. (z)

Pracownicy Akademii Nauk Kazachskiej SRR natrafili na prawym brzegu rzeki Irtysz na szczątki szkieletu człowieka prehistorycznego. Przeprowadzone badania wykazały że szkielet pochodzi z okresu paleolitu z przed 30 tys. lat. Jest to trzeci tego rodzaju szkielet znaleziony na terenie ZSRR. (z)

W Sofii zakończona zostanie wkrótce budowa wielkiej biblioteki narodowej im. W. Kolarowa. Budynki tej biblioteki — największej w Bułgarii — zajmą całą dzielnicę w śródmieściu. Obecnie biblioteka liczy ponad 300 tys. tomów. (z)

Bułgarska Akademia Nauk mianowała swymi członkami-korespondentami wybitnych uczonych polskich prof. R. Czerwicię, prof. K. Borsuka i prof. A. Schajja. (z)

W marcu minie sto lat od chwili urodzin Mikolawa Gogola. Nakład jego dzieł w ZSRR wyniósł dotychczas ponad 18 mln. egzemplarzy. (z)

Z okazji 4 rocznicy podpisania umowy o współpracy kulturalnej polsko-węgierskiej otwarto w Budapeszcie w Galerii Narodowej wystawę karykatury polskiej. (z)

W 1951 r. urządzono zagranicą liczne wystawy polskie. M.in. w Bukareszcie, Teheranie, kilku miastach Norwegii, w Paryżu i kilku ośrodkach górniczych Francji oraz w Tel Avivie. Hajje i Jerolimie urządzono wystawę „Warszawa — Pokój, Odbudowa”. Życie artystyczne w Polsce obrazowały wystawy: „Polska sztuka ludowa” (w Kopenhagie, Sztokholmie i Helsinkach), pokaz prac prof. Kulisiwicza (w Rzymie), „Grafika i książka” (w Meksyku), „Ilustracja książkowa” i „Wycinka ludowa” (w Niemczech zach.) oraz „Rysunki dziecięce” (NRD, Niemcy zach. i Finlandia). (z)

Od 22 do 28 lutego trwać będzie w GSR Festiwal Filmów Radzieckich. (z)

Zasłużona artystka GSR — A. Langrowa-Spillingowa obchodzi 50-lecie pracy na scenie. Na swoim jubileuszu wystąpi ona w roli Dulskiej w kamedii Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej”. (z)

Andrzej NARBIECKI

„SZKICE LITERACKIE“ FRANCE'A

„...Oto esej powstanie skoro przed oczami pisarza zbiorą się jakieś dane, on na nie popatrzy poprzez jakieś okulary, a potem opowie co zobaczył, ale nie z punktu widzenia specjalisty od tych danych, lecz z punktu widzenia okularda, które złożył“.

(Tadeusz Breza¹)

KTO, nawet daleki zamiarom negowania potrzeby istnienia tak zwanej krytyki naukowej, daleki sprzeciwianiu się próbom obiektywizacji zjawisk literackich — kto, pytam, oprócz się potrafi urokowi krytyki impresyjnej, dającej się zaliczyć wyłącznie chyba do sztuki pięknej (wice subiektywnej), jeśli opowiadającym „przygody swej duszy pośród arcydzieł“ jest człowiek tej kultury, causeur tej miary co Anatol France²?

Wróg wszelkiego dogmatyzmu, przeciwnik jakichkolwiek kanonów estetycznych, gdy estetyce — jego zdaniem — brak solidnych podstaw: „jest to zamek w powietrzu“ — pozostawił France w swych kilkuset felietonach pisanych dla paryskiego „Le Temps“ coś więcej aniżeli wycinek kroniki kulturalnej, coś więcej niż pokaźną liczbę recenzji; zostawił trwałą pochwałę dyktantyzmu, w tym właściwym, pochlebnym tego słowa znaczeniu.

Taraz zwłaszcza, w okresie ponękania u nas kunsztownej formy eseju, ze szczególną radością sięgamy po wydany kilka miesięcy temu niewielki wybór z „Le vie littéraire“. Staramy się dobrać odpowiednie okulary, by podać w lekturze za naszym ujmującą byłym przewoźnikiem.

Oto Pał — ujrzany najpierw w „Lucyfer literatury“, na którego modłę „jestem zazdrośnik, chciwi, gwałtowni, brzytny się nawzajem, rzucamy się jedni na drugich z furją morderczą i śmieją, aby zdobyć złoto czy zaszczyty. Balzac jest księciem zła i jego królestwo nadeszło“. Ale France, zawsze czujny, replikuje w tym dialogu natychmiast: „Konkurencja była w życiu zamiatana już przed Balzakiem. Stralki zdarzały się przed napisaniem „Germinalu“.

Później zaś doda niby mimowolną a wnikliwą uwagę: „Jedną właściwość tego wielkiego człowieka szczególnie mnie uderza. Gd, pisze dobrze, gdy nie wchodzi w utopijność ani w romantyzm, jest przenikliwym historykiem współczesnego sobie społeczeństwa. Wyjawia wszystkie jego tajemnice. Pozwala nam, lepiej niż ktokolwiek inny, pojąć ewolucję dziejową od dawnego ustroju do nowego i on tylko umie pokazać dwa wielkie pnie naszego drzewa genealogicznego: rzuwące majątków narodowych oraz żołnierza Cesarstwa“.

WESZLI do „Szkiców literackich“ — do dość odległych datami — wypowiedzi France'a o Zoli. Ten, który stając nad trumną twórcy powieściowego cyklu „Rougon-Macquartów“ i mając na myśli całe jego dzieło, nie zawaha się — wać Zolę „przeoblyskiem sumienia ludzkości“ — kilkanaście lat wcześniej z łowną słusznością krytykuje tego dzieła fragmenty.

W „Dialogach żywych“ — w formie z lekką udrumatyzowanej — zajmuje się „Bestią ludzką“, pisząc zarazem świetny pamflet na powieściopisarzy, profesorów, członków Akademii, światowców... by — ukryty za plecami filozofa i trochę przez usta (potrafiłowanego zresztą nie bez subtelnej ironii) krytyka — zwrócić uwagę na jednostronność dokładności naturalistów. Pierwszy z nich mówi: „Nie dość jest widzieć to, co widzą inni, by widzieć tak jak oni. Zola widział to, co widzi maszynista, ale nie widzi tak, jak widzi maszynista“. Drugi, sprzeciwiając się ostrej wypowiedzi książki Zoli, dodaje: „Skoro ostatecznie ludzie uczeni mają przewagę w życiu, to dlatego, że są głębsi. Ale mają przewagę nieznaczniejszą i nie zawsze. Tworzą w sumie tylko małą większość. Pan Zola nie dostrzegł prawdziwej proporcji“.

Wśród głosów protestu przeciw „Ziemni“, tej drastycznej książce z pogran-

icza pornografii, nie zabrakło i recenzji w „Le Temps“. Kiedy wszakże czytam ten rozdział krytyczno-literackiej działalności France'a, zapominam na chwilę o Zoli i o Grupie Pięciu, by podchwycić rzecz inną. Rzuci się w oczy wielka zbieżność sądów — szkiców z konieczności (i zamiłowaniem) felietonach France'a oraz niejednych sążeń studiach, weźmy dla przykładu naszego wytrawnego krytyka — Antoniego Sygietyńskiego³). To, do czego drugi z nich dochodził w drodze sumiennej analizy, pierwszy — znajduję już po kilku pociągnięciach pióra, kierowany wyborem smakiem wspomaganym ogromną intuicją. Te właśnie dwa punkty, przy których dopiero oddać może należycie usługi cały aparat erudycyjny, na bardziej są u France'a godne podziwu, jeśli wręcz nie go drości.

KAZDY, kto cokolwiek słyszał o Anatolu France, wie o skłonności tego pisarza do liczych — zawsze błyskotliwych — dygresji. Niektórzy bardzo takiego stylu nie lubią, bo — twierdzą — trzeba „na temat“. Jestem innego zdania, a upoważnia mnie do tego choćby szkice France'a o autorze „Baryleczki“, który przy tej okazji dał zwycięży a znakomity przegląd nowelistyki francuskiej, zaczynając hen, aż od „Trentelów! Sam Maupassant nie tylko nie na tym nie traci, lecz przeciwnie — zyskuje. Trudno oheć się bez cytatu „Jest (Maupassant) wielkim malarzem ułomności ludzkich. Maluje — bez nienawiści i bez miłości, bez gniewu i bez litości — skąpych chłopów, pijanych marynarzy, upadłe dziewczyny, małych urzędników ogłupionych pracą biurową i wszystkich małych, których małość jest pozbawiona piękności i cnoty. Pokazuje nam wszystkie te groteskowe istoty i wszystkich tych nieszczęśliwców tak wyraźnie, że zdaje się nam, iż widzimy ich przed sobą i uważamy ich za bardziej realnych niż sama rzeczywistość. Każę im żyć, ale ich nie sądzi. Nie wiemy, co myśli o tych szelmach, lajdakach, nieczemnikach, których stworzył i którzy nas nawiedzają. Oto zgrzeszny artysta, który wie, że zrobił wszystko — gdy zabnął życie, w jakąś postać. Jego obojętność przypomina przyrodę: dziwi mnie i irytuje. Chciałbym wiedzieć, w co wierzy i co czuje w nim ów człowiek bezlitosny, mocny i dobry. Czy kocha głupców za ich głupotę? Czy kocha zło za jego brzydotę? Czy jest wesoły? Smutny? Czy zabawiając nas, sam się bawi? Co sądzi o człowieku? Co myśli o życiu?“

Na cytacie też najlepiej, poprzestając.

Ciekawym komentarzem, charakteryzującym stanowisko France'a-pisarza są dwa studia poświęcone „obronie plagiatu“. Autor „Wyspy pingwinów“, który — jak wiadomo — niejedną kartę swych książek niejednemu poprzednikowi zawdzięczał, przy sposobności zarzutu plagiatu postawionego Alfonso Daudet przez Maurycego Montégul i następnie rozpatrując zapożyczenia Mollera w „Świętoszku“ i „Skąpcu“, formułuje swoje stanowisko wobec tego rodzaju poczynił literackich. Sąd ten, ze zrozumiałych względów liberalny, jest jednocześnie bardzo rozsądny. Ponieważ „sytuacje są własnością ogółu“, więc też — zdaniem France'a — „...pomysł ma wartość tylko dzięki swej formie i (...) na ujmowaniu starych pomysłów w nowe formy polega cała sztuka i jedyna twórczość dostępna człowiekowi“.

„Nie mogę pojąć, co to jest impresjonizm i Symbolizm dziwi mnie“ — tak opowiadał France publicznie na list Karola Morice, który go pytał, jak widzi przyszłość rodzącej się literatury dekadentkiej. Trudno dziwić się kląskawicę France'owi, że nie rozumiał młodych. Ze w polemice z Karolem

Morice wołał twierdzić wygodnie „Im dłużej żyję, tym silniejsze mam poczucie, że piękne jest tylko to, co jest łatwe“. Ale nie można nie zauważyć dalekowzroczności France'a, niektóre bowiem jego zdania stały się obowiązującymi hasłami dopiero niedawno: „Najbardziej uczony artysta musi przestrzegać ludowego i narodowego charakteru języka; musi mówić językiem wszystkich“ (...) „Języki są wytworami spontanicznymi, są dziełem ludów. Nie trzeba ich używać w sposób zbyt wyrafinowany. Mają same przez się potężny smak ziemi; nie się nie wyrażają, perfumując je... „Prawdziwa sztuka jest tylko ta — która, nie widać“.

TOMIK „Szkiców“ uzupełnia esej na temat „opowiadań chińskich“ oraz — wyjęty, podobnie jak „Trente ans de vie sociale“ — odczyt o Diderocie — „przejściu do ludu“. Ostatnia pozycja jest interesująca nie tyle ze względu na osobę Encyklopedysty, ile raczej jako świadectwo zupełnie jednoznaczne o ideowym stanowisku Anatola France. „Zwycięstwo proletariatu jest pewne“ — powiedział on wtedy, w lipcu 1900 roku. „Zarysowuje się już na horyzoncie świata z niewymuszoną ścisłością konstrukcji geometrycznych“.

Referowanie, choćby najeśniej cytowane poparte, nigdy nie zastąpi oryginalu. Toteż końcówkę je można wyłącznie gorącym poleceniem tych esejów France'a.

Obiecywał France w przedmowie do jednego z tomów „La littérature“, że w książce tej znajdzie czytelnik „pełną szczerą, wiele pobłażliwą...“ — „che naturalne, przychylności dla piękna i dobra“. Przyszeczenie spełnił. A ponadto znalazł się tam odwaga myśli, która według niego polega tylko na „wesołości ludzi myślących“. Mawiał: „Trzeba być lekkim, by móc lecieć poprzez stulecia“.

France — przeleci.

WSZYSTKIE książki wydane przez „Czytelnika“ zamieszczają teraz na ostatniej stronie „list otwarty“, upoważniający do zgłaszania swych zastrzeżeń i dezzyderyów, dotyczących danej książki. „do których wydawnictwo mogłoby się zastosować w swej dalszej pracy“.

Ocena „Szkiców literackich“ France'a, mimo kilku uwag, wypadnie na pewno dodatnio. Dobry na ogół przekład, rzeczowy wstęp, staranne zwykle przypisy redaktora, ładnie pomysiana w rysunku, chociaż niezbyt przyjemna w kolorze okładka — wszystko to sprawia, iż każdy chyba, komu sprawy literackie nie są zupełnie obce, z radością książkę nabędzie.

A zastrzeżenia? — O! one Czemu tytuł „M. Guy de Maupassant et les conteurs français“ przetłumaczono: „Pan Guy de Maupassant i tradycja“? Nie bardzo wiadomo o jaką tradycję chodzi, podczas gdy France precyzyjnie dokładnie Czytelnik książki sięgając do spisu rzeczy powinien być poinformowany, że chodzi o tradycję nowelistyki francuskiej. Przy okazji można wytknąć błąd korektora, który zrobiłby dużą przykrość Maupassantowi (wiadomo, jak ogromnie dbał on o „de“ przed swoim nazwiskiem, które mu się zresztą wcale nie należało!) — odtąd to „d“ figurujące w tytule, „zgrabione“ na karcie tytułowej (str. 27). — Wracając do przekładu, poprzestając na tym, najbardziej rzucającym się w oczy mankamentie, zapominając o trafiającym się miejscami (trochę bez powodu) opuszczaniu kilku słów oryginalu. — Jedno pytanie pod adresem Autora wstępu: czyżby estetyzm i niezależność, trafność sądów — były to pojęcia zwykle wykluczające się nawzajem? Maciej Żurawski pisze: „Życie literackie“ zawiera szereg szkiców, które mimo naleciałości parnasistowskiego estetyzmu cechuje imponująca niezależność i trafność sądów“ (str. 7, podkreślenie moje — A N) — Mam wreszcie żal do Redaktorki, że pozwo-

liła zmienić Scarron'owi imię Pawła na Piotra (str. 89).

Nie znam „okoliczności wydawniczych“, towarzyszących ukazaniu się na rynku księgarskim „Szkiców literackich“ — mam jednak wrażenie, że czytelnicy poczekałby chętnie kilka tygodni, gdyby wzamian za to, do trafnego już wyboru dodać i przetłumaczyć parę jeszcze esejów. Myślę przede wszystkim, iż krzywdą stała się poezja. France nie tylko polemizował z Karolem Morice, ale również jest autorem felietonów o Pawle Verlaine czy Karolu Baudelaire! — czytelnik polski ucieszyłby się szczerze udostępnieniem mu uwag France'a o Goncourtach (tak tylko zawsze „marginesowo“ mówi się o nich u nas), warto być może uśmiechnąć się razem z kronikarzem z „Le Temps“ na koszt pani George Sand (tytu sławnym ludzium patronó-

wala, że należy się jej trochę pamiętać!); osobista sympatia piszącego te słowa dyktuje wyrazy zawodu, iż w „Szkicach literackich“ nie mamy sposobności spotkać Prospera Mérimée; ze względu na France'a zasługiwałyby na przypomnienie felietony o Juliuszu Lamaitre, czy „Sur le scepticisme“. I jaka szkoda, że nie uwzględniono wrażeń France'a z „Hamleta“ i „Burzy“!

Andrzej Narbiecki

¹) „Rozważania o eseju“, „Pion“, nr 16.

²) Anatol France: „Szkice literackie“. Wybór i wstęp Macieja Żurawskiego. Tłumaczył Wojciech Natanson. Okładkę projektował Andrzej Heidrich. Redaktor: dr Daniela Gromska. „Czytelnik“ 1951, str. 123 + 5 nrb.

³) Czy nie warto by wznowić studia Sygietyńskiego z literatury francuskiej (Flaubert, A. Daudet, Braclia Goncourt, Zola), wydane w roku 1932 przez Zygmunta Szwejkowskiego?

ZAPOMNIANY DRAMATURG NA SCENIE WROCŁAWSKIEJ

PAŃSTWOWE Teatry Dramatyczne we Wrocławiu wystawiły na scenie kameralnej ciekawą prapremierę: zapomnianą sztukę p. w. „Komedia“ — mało znanego autora Apolla Nałęcz-Korzeniowskiego. Sztuka ta, pierwszy raz drukowana w 1854 r. w „Roczniku Literackim“, a więc blisko 100 lat temu, nigdy dotychczas nie była grana.

Autor tej. Apollo Nałęcz-Korzeniowski, znany był dotychczas raczej jako ojciec Josepha Conrada, aniżeli jako pisarz. Wprawdzie wiedano ogólnie, że Apollo pisywał również, lecz tylko wytrawni poloniści zjawiali sobie w przybliżeniu sprawę z tego, co napisał, natomiast nie wielu wiedziało, jak pisał i w jakim duchu. Wielki dwutomowy podręcz-

soko urodzonym. Wśród dzieł polskiego realizmu krytycznego „Komedia“ może uchodzić za dzieło klasyczne.

Sztuka ta była zagrana doskonale. Słowa uznania należą się przede wszystkim reżyserowi, Marii Wiercińskiej. Przez usunięcie dłużyzn tekstu, przez nadanie szybkiego tempa akcji, sztuka stała się ciekawym widowiskiem o doskonale podkreślonym akcentie społecznym. Gra aktorów równa i na wysokim poziomie. Dykcja zachowuje piękno i urok mowy wiązanej bez najmniejszego znaczenia sensu dialogów. Wspaniałymi inwektywami popisują się Zbigniew Niewczas (w roli Henryka), Stanisław Bugajski i Mieczysław Ziobrowski (dublujący rolę sekretarza), świetek lotrowskiej zmywy przedstawiają Ta-



Państwowy Teatr Polski we Wrocławiu. Scena z III aktu sztuki „Komedia“ A. Nałęcz-Korzeniowskiego. Na zdjęciu Barbara Jakubowska i Zbigniew Niewczas. Fot. Zdzisław Mozer

nik literatury polskiej, wydany przez Polską Akademię Umiejętności, jak również Chmielowski w ogóle o nim nie wspominają. Korbut i „Ultima Thule“ ograniczają się do podania najważniejszych dat z życia tego pisarza i spisu dzieł. Z rzadka przerywał blisko stuletnią ciszę jakiś artykuł w piśmie literackim lub polonistycznym. Jedynym raz ukazała się monografia o Apollu Korzeniowskim i to jeszcze w 1870 roku.

Było to milczenie krzywdzące tego dramaturga, bo oto po blisko 100 latach wydobyta z lamusa sztuka okazała się świetnym dziełem scenicznym. Komedia ta napisana pięknym, potoczystym trzynastozgłoskowcem, brzmieniem podobnie do strof komedii fredrowskich, wierszem wolnym od nadmiaru metafor i figur poetyckich, przejrzyste podającym słuchaczom przedmiot rozmów wierszem pełnym dynamiki we wspaniałych tyradach, oskarżająca ówczesne ziemianstwo, posiada wielkie napięcie akcji dramatycznej, mimo dość prymitywnej intrygi. Wywołuje z jednej strony szczerze współczucie dla osób skrzywdzonych przez obóz „obalochwalców rubla“, z drugiej zaś niemniej szczerze oburzenie przeciw wy-

deusz Kalinowski (w roli Prezesa), Maria Zbyszewski-Benoit (w roli Basi) i Igor Przegrodzki (w roli Marszałka). Młoda debutantka Barbara Jakubowska wzruszała widzów w roli Lydii, ofiary owego spisku. Poprawnym lokajem był Kazimierz Herba.

Dekoracje i kostiumy trafnie oddają charakter epoki. Są one dziełem Jadwigi Przeradzkiej, która potrafi łączyć prawdziwy realizm z prawami rządzącymi estetyką sceny.

Oby jak najrychlej szerokie masy poznały tę dobrą sztukę! Należałoby żyć sobie, aby „Komedia“ po 100 latach zapomnienia, odbyła pochód po wszystkich scenach Polski. Ponieważ zaś Teatr Polski we Wrocławiu gra już świetnie, czy nie należałoby zastanowić się nad wyjazdem tego zespołu do Warszawy, już chociażby jako rewanż za „Męża i żonę“ Fredry, którą widzieliśmy we Wrocławiu w wykonaniu Teatru Polskiego z Warszawy. Należy również zabrać się do spuścizny po Korzeniowskim, wydać je drukiem, przypomnieć inne jego sztuki sceniczne, które mogą okazać się równie ciekawe.

Andrzej Joch

Leszek PROROK

Z PRAC SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP

O METODZIE BIOGRAFICZNEJ

VIE ROMANCEE, gatunek do niedawna rzadko uprawiany na gruncie polskim, aklimatyzuje się u nas i pociąga stopniowo coraz więcej piór. Głód autentyzmu, znamieny dla współczesności, który tak silnie wpłynął na upowszechnienie reportażu, obejmuje również i historię, przekładając subtelną relację o rzeczywistym bohaterze ponad barwność i względną swobodę fikcji literackiej. Zjawisko to coraz częściej skłania pisarzy do pogłębiania problematyki biografii artystycznej. Dążność ta dominowała również w warsztatowej dyskusji nad książką Jerzego Broszkiewicza o Chopinie, która odbyła się w dn. 28.XI. ub. r. w Sekcji Prozy Poznańskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, przy udziale autora.

WYPOWIEDŹ W DYSKUSJI

W BIOGRAFII geniusza, uczonego, wodza, rewolucjonisty czy reformatora — postaci, którymi stale zajmują się nowe pokolenia, gromadząc przyczynki i zmieniając ujęcia, niesłychanie ważna jest ogólna koncepcja opisywanego bohatera. Koncepcją osobistości, której wielkość jest powszechnie uznana, w której życiu nie brak jednak faktów śmiesznych czy małostkowych, jest jeszcze ważniejsza i bardziej drażliwa.

Jaka jest ogólna koncepcja postaci w powieści biograficznej Broszkiewicza? Nazwałbym ją uświadomieniem sprzeczności, które jak motyw przewodni przenikają całą opowieść o Fryderyku, poczynając od najbardziej jaskrawej sprzeczności między salonowym dandysem, a sympatykiem rewolucyjnego wrzenia wśród młodzieży warszawskiej i na ulicach Paryża. Koncepcja taka stanowi zarazem, w pewnej mierze, kryterium metodologiczne w budowie dzieła. Czy jest to koncepcja szczęśliwa? Nie znam całej literatury o Chopinie, sądząc jednak, że wnosi niewiele do światła naszych wyobrażeń o wielkim artyście.

W biografii postaci, którą przedtem już opisywano, każdy następny pisarz napotyka na trudność: czy uda mu się pokazać nowe aspekty osobowości swego bohatera? Czy da tylko mniej lub więcej cenne powtórzenie, chociażby udoskonalone. Sądząc, że Broszkiewicz stworzył nową koncepcję osoby Chopina, ukazując nam wiele cech muzyka, których dotychczas nie znaleźliśmy. Należy do nich zaliczyć obraz chłopca, który w przeczuciu swych przyszłych triumfów wolał na ulicach Warszawy: „styszelizielie!”, oraz wykraczający z decyzją poza schemat wycobrażeń o artyście, ale całkiem wiarygodny wizerunek Chopina — trzeźwego organizatora swego paryskiego sukcesu (rozmowa i targi z wydawcą Schlegelingerem w II tomie). Pierwszy rozdział, pełniący rolę przedmowy, ukazuje nam stosunek autora „Kształtu Miłości” do problemu biografii literackiej. Zawiera on swego rodzaju manifest literacki, credo autora w zakresie metody biograficznej.

BROSZKIEWICZ porusza w nim ważne zagadnienie sposobu widzenia wielkiego człowieka z minionej epoki. Wypowiada wątki drobnym faktem. Sensu życia człowieka nie wyciągnie się z drobniaków, ale z całości. Prawa rządząca całością — idąc dalej za tą myślą — nie są zatem sumą, bądź prostym przeniesieniem praw, które rządzą częściami, lecz czymś więcej, czymś swoistym. Całością mogą rządzić prawa, które nie stosują się do żadnej części.

Urywkowe relacje o Chopinie, ta-

kie czy inne prawdziwe fakty z jego życia, nie dają klucza do odczytania jego postaci. Są zbyt często kłowe. Stanowisko Broszkiewicza w stosunku do wielu jego poprzedników-biografów prowadzi do zmiany w hierarchii źródeł. Dzieło jest zasadniczym kluczem do odczytania życia artysty, a nie zbiorowisko faktów z nim związanych. Wynikałoby stąd dalej, że nie ma rozdziału między dziełem a życiem — jak wiadomo — jest od dawna w historii sztuki i literatury zagadnieniem spornym.

Głównym źródłem badań nad osobą Chopina w budowie „Kształtu Miłości” była jego muzyka. Ze stanowiska autora wynika więc, że muzykę Chopina, przynajmniej w pewnym zakresie, można rozumieć jednoznacznie. Że stanowi ona źródło obiektywne. O komunikatywności muzyki, sztuki najbardziej abstrakcyjnej, bezpojęciowej, toczą się wielkie spory. Trudno założenia Broszkiewicza generalizować, lecz należy zgodzić się z nim, że ludowy czy rewolucyjny rodowód ma zurekować czy etiud Chopina nie budzi wątpliwości. Stwierdzenie to w warsztacie pisarskim autora „Kształtu Miłości” odgrywa znaczną rolę nie większą niż u innych twórców. To, co dla innych pisarzy jest mniej lub więcej peryferyjnym zagadnieniem, Broszkiewicz uznał za kategorię metodologiczną, za sprawdzan swych tez.

Muzyka odkrywa i tłumaczy, co niezrozumiałe w osobie twórcy. Szkoda tylko, że klucz ten określony na wstępie opowieści, nie został jednak dostatecznie wyjawiony czytelnikowi. Zbyt wiele autor ukrył dla siebie. Nie dowiadujemy się, dlaczego Chopin ogrzmiał swą twórczość do fortepianu wbrew gustom epoki. Któż lepiej mógłby zgłębić tę tajemnicę, jeśli nie Broszkiewicz-muzyk. Zbyt szybko przesłignął się autor nad warszawskimi studiami muzycznymi.

Wyjaśnienia domaga się również problem opery narodowej, której od Chopina żądano już w Warszawie. Został on zcieśniony do krótkiej wzmianki w II tomie.

Broszkiewicz lubi szeroko podmaływać tło. Przede wszystkim do tyczy to pobytu na obczyźnie, w Paryżu. Rodowód muzyki Chopina sięga do źródeł ludowych. Dlatego jednak kontakty z ludem zacieśniono do Szafarni, jednej z miejscowości w okolicy. Przeciwnie z ludem Fryderyk stykał się również w Warszawie przez cały czas swojej młodości. I tu jego wycobrażenia i pamięć podchwyciły i zanotowały niejedno. Poza mieszkaniem Chopinów, czy poza salonami, autor w kreśleniu obrazu Warszawy obraca się najchętniej w środowisku radykałów z „Honoratki” czy „Dziurki”. Lecz młodzi spod znaku Mochnackiego to jeszcze nie plebs. W gruncie rzeczy ludu warszawskiego na kartach książki zabrakło.

Muzyka zatem była stałym kluczem do odkrywania nowego Chopina. Ona to spowodowała, że swą opowieść urywa autor na dwa lata przed śmiercią artysty. Chopin przestaje tworzyć i z tą chwilą kończy się relacja biograficzna. Przestała bowiem przemawiać muzyka. Ostał tylko dwa lata, nędzę i ból postępującej choroby trzeba by odczytać przy pomocy innego klucza, autor zaś pragnie pozostać wierny muzyce.

CZY JEDNAK PRZEZ TWÓRCZOŚĆ DO ŻYCIA

DYSKUSJA potoczyła się nad słusnością interpretacji Chopina przez Broszkiewicza, nad trafnością biograficznej metody auto-

ra „Kształtu Miłości”. Niemal każda z licznych wypowiedzi na wstępie opatrzone została sceptycznym „czy jednak”? Tezę Broszkiewicza, powyżej omawianą, pierwszy zakwestionował A. J. Kamiński przytaczając szereg przykładów, gdzie twórczość nie daje klucza do zrozumienia życia twórcy. Twórczość czasami uzupełnia życie, lecz go nie tłumaczy.

Motywy ludowe i rewolucyjne w muzyce Chopina musiały posiadać jakiś rodowód. Tu autor może mieć rację w swym tłumaczeniu, lecz odczytywanie całego życia z dzieła to ryzyko. Z poezji Słowackiego nie odczytamy jego operacji giełdowych. Zygmunt Miłkowski, jako działacz społeczny, zajmuje w najlepszym razie pół strony przeciętnego podręcznika historii. Dla potomności istnieje tylko jako T.T. Jeż, choć twórczością pisarską zajmował się ubocznie, na marginesie działalności społeczno-politycznej. Ta omawiana metoda zawiedzie.

Podobne stanowisko zajęli Wojciech Bąk. Nie wszystko z życia od bija się w dziele, czasem w dziele znikoma część życia dochodzi do głosu, nie dziwi więc fakt, że wielki poeta mógł być zarazem giełdźmierzem i mistykiem. Wątpliwości podniesione prowadzą do pytania, czy Chopin w książce Broszkiewicza jest Chopinem prawdziwym. Pytanie to narzuca się zresztą jako zaśmieszające przy lekturze każdej biografii. W. Bąk jest agnostykiem w odniesieniu do możliwości pisarzy-biografów. Uważa, iż czas zniekształca bez wyjątku każdą relację biograficzną, nawet tę, która dotyczy naszego własnego życia z przed lat.

Gość prozaików poznańskich Marian Brandys, zamknął szereg wypowiedzi na temat twórczości jako klucza, inną ilustracją. Kwestia jeźności życia i dzieła istnieje jednak w pewnym zakresie i odwołuje się do wymowy twórczości dla zrozumienia życia byłoby równie szkodził, jak przyznanie jej jedynego głosu. Flaubert powiedział kiedyś „Emma Bovary to ja”. Flaubert, rzecz jasna, panią Bovary nie był, lecz o panie Bovary w życiu walczył. Książki jego pozostaną na zawsze świadectwem tej walki, umożliwią zrozumienie pewnych chociażby dziedzin życia. Chopin był dandysem, lecz posiadając muzykalne ucho, nie mógł nie posłyszeć tego, co dzwigało w atmosferze. Nie znaczy to jednak, by zamierzał zostać kanciarzem rewolucji. Ktoś, kto chciałby z jego muzyki czytać ten wniosek, byłby w błędzie.

W szczegółowej analizie utworu prozaicy poznańscy zajęli się omówieniem wewnętrznych proporcji książki — stosunku postaci artysty do środowiska. Liczne głosy (A. J. Kamiński, A. Łączyńska) przychyliły się do poglądu, iż zbytnie rozbudowanie obrazu środowiska, zwłaszcza emigracyjnego w II tomie, sprawia, że postać Chopina ginie chwilami na tym tle. Razi to tym więcej, że Chopin żył z dala od kół polskiej emigracji i stykał się z nią w ograniczonym zakresie.

Duże zacieśnienie wywołała również próba określenia gatunku literackiego „Kształtu Miłości”. Powieść czy opowieść o Chopinie? Ciekawą analizę tych pojęć podał Egon Naganowski. Terminy powieści i opowieści są często przeciwstawiane sobie w krytyce, rzadko jednak dostatecznie się je precyzuje. Prowadzi to do licznych nieporozumień. Płynne granice między oboma gatunkami pozwalają jednak na pewne rozgraniczenie robocze. W opowieści — również w

„Kształcie miłości”, nad partiami dialogowymi góruje relacja i komentarz autora. Postaci opowieści nie są autonomicznie „konkretne” nie są w sposób powieściowy plastyczne. W „Kształcie” widać przede wszystkim autora, w którym załamuje się postać Chopina i wszystko inne. To najbardziej może stać nowi o odrębności gatunku.

Ożywiony spór o metodę biograficzną odwrócił uwagę od bardziej drobniogowej oceny „Kształtu Miłości”. W założeniu swym analizy robocze sekcji twórczych starają się unikać powtarzania wywodów i argumentacji zawartych w recenzyjnym pokłosie książki. Chodzi głównie o nowe momenty oceny, zwłaszcza w ujęciu warsztatowym zawodowo-literackim. Wszystkie te okoliczności, jak również konieczność streszczenia przebiegu kilkogodzinnej dyskusji do szeregu ram artykułu skłoniły sprawozdawcę do pominięcia fragmentów szeregu wypowiedzi, wypuklających szerokie, powszechnie uznane walory powieści Jerzego Broszkiewicza.

E PUR SI MUOVE

SWA replikę poświęcił autor w całości odpowiedzi na zasadnicze dla każdego literata-biografa pytanie o właściwy sposób odczytywania swych bohaterów. Czy muzyka Chopina jest dostatecznie precyzyjnym i pewnym kluczem do przeniknięcia tajemnic w życiu Fryderyka.

Jerzy Broszkiewicz jest muzykiem i znajomość z Chopinem nawiązał od strony muzyki. W poznaniu dzieła doszedł do tego stopnia, w którym muzyczna treść frazy stała się, na ogół jednoznaczna. Poprzez dzieło zainteresował się twórcą. Gdy pragnąc pogłębić swą wiedzę od strony epoki rozpoczął studia nad Fryderykiem z okresu warszawskiego, natrafił na nieprzenikną zagadkę. Nie mógł znaleźć wyjaśnienia, skąd wzięła się pewna fraza koncertu f-moll, tak róż-

niąca się od ducha epoki, tak dziwnie patetyczna. W szczupłym materiale książek o Chopinie brakowało dostatecznego tłumaczenia. Istniejące biografie nie zaspokajały ciekawości. F. Hoesck na dwóch tysiącach stron swej książki potrzebował wyczerpać wszystkich kochanków George Sand, ale dwa lata życia artysty zamknął w jednym zdaniu wspominając lekko, iż Fryderyk bywał w kawiarniach i sykał się z Mochnackim. Sięgnięcie po artykuły Mochnackiego otworzyło na raz perspektywę na zrozumienie tajemniczej frazy. Tu dla autora „Kształtu” zaczął się dylemat — kwestia stosunku życia do dzieła i odwrotnie. Oczywiście spraw tych upraszczać nie można, lecz w przypadku Chopina właśnie dzieło pozwala na wyśrodkowanie hierarchii — co w życiu artysty było ważniejsze, czy godziny przegadane z Mochnackim, czy miły bal u ks. Luzy Czetwertyńskiej.

W historii muzyki twórczość Chopina jest bezspornie rewolucyjna. Kurtuazyjne dedykacje nie powinny nikogo mylić. Tę stronę swej działalności, rewolucję artystyczną, przekładał kompozytor, wirtuoz i pedagog ponad działalność polityczną, która miałaby muż wymowę zrozumiałą dla każdego, lecz zniszczyłaby delikatny organizm w przeciągu najwyższej dwulata.

Autor „Kształtu Miłości” wystąpił zatem zdecydowanie w obronie twórczości, jako klucza do zrozumienia twórcy, a w każdym razie do zrozumienia Fryderyka Chopina. Swe „E pur si muove” zilustrował w zakończeniu drobnym sprawnym komunikatywności muzyki. Zagrał urywek cukierkowej dworskiej melodii i jako przeciwstawienie mocny, dysonansowy akord. Efekt ten wszedł do poznanej dyskusji jako argument „last but not least” (ostatni, ale nie najmniej ważny) przechylający szalę na stronę zwolenników tłumaczenia sprzeczności i zagadek w życiu Fryderyka — wymową jego dzieła.

NOWA SZTUKA O PUSZKINIE

PROŚNIENIE Sekcji Dramatycznej P. w Warszawie, które odbyło się dn. 22.I.1952 r., poświęcono omówieniu sztuki Stefana Flukowskiego o Puszkynie.

Otwierając zebranie Adam Tarn zaznajomił zebranych z opinią Kolegium Programowego o utworze: sztuki do repertuaru teatralnego nie przyjęto, ponieważ uznano ją za fałszywą historycznie. Poglądy przypisywane przez autora Puszkiniowi i chłopom rosyjskim zbyt są — zdaniem Kolegium — bliskie współczesnym poglądom opartym na poglądach markistowskich.

Następnie głos zabrał Stefan Flukowski. Wyjaśnił, że pomysł napisania sztuki powstał jeszcze w r. 1948 podczas uroczystości rocznicowych. Początkowo poszczególne akty pomyślane były jako odrębne, drobne utwory; w miarę jednak przybywania materiału i krystalizowania się koncepcji postaci Puszkina, autor postanowił połączyć je i stworzyć jedną dużą całość.

Temat sztuki, to według sformułowania autora: „Puszkina w walce z samowładztwem i pańszczyzną”. Po skupieniu zainteresowania wokół jednego tylko zagadnienia — zdaniem autora — nie tylko nie zubożała postać wielkiego poety, lecz przeciwnie — pozwala na ukazanie pełnej sylwetki Puszkina-rewolucjonisty.

Najnowsze materiały wydobyte przez naukę radziecką uzasadniają takie właśnie potraktowanie tematu. Stosunek poety do twórczości i działalności Radiszczewa wyrażony w

odzie „Wolność” oraz w „Podróż z Moskwy do Petersburga” — wierszu, którego tytuł jest parafrazą tytułu znanego utworu Radiszczewa, kontakt z Dekabrystami, z Pastelem, szczególnie zaś zawarta podczas podróży do Besarabii przyjaźń z nieugiętym rewolucjonistą Rajewskim świadczą o postawie Puszkina.

Dyskusja nad sztuką Flukowskiego potoczyła się w dwóch kierunkach: poruszono kwestię uzasadnienia historycznych oraz kompozycyjnych sztuki.

W sprawie pierwszej zabrał głos Adam Tarn, który referując po raz drugi zarzuty Kolegium Programowego zgodził się z nimi dodając jeszcze, iż nieprawdopodobne wydają się ukazane przez Flukowskiego poglądy Puszkina na sprawę chłopską, gdyż charakterystycznym błędem Dekabrystów, z którymi poeta był związany, jest właśnie brak łączności z masami.

W obronie sztuki stanął Tadeusz Sarnecki stwierdzając, że przedstawione wypadki w utworze są zgodne z prawdą. O poglądach Puszkina świadczą nie tylko wypowiedzi jego przyjaciół, lecz również część twórczości poety np. rewolucyjny wiersz „Wies”. Puszkina wychowany w atmosferze szlacheckiego dworu rosyjskiego miał od wczesnego dzieciństwa ścisły kontakt z chłopami, od nich uczył się nienawiści do niewoli i despotyzmu.

Więcej uwag, aniżeli ideologiczna treść utworu, wywołała kwestia kompozycji sztuki.

(wul)

Wanda WEJTKO

Sprawa krytyki teatralnej

D NIA 8 I 1952 r. w sali ZLP na Krakowskim Przedmieściu odbyło się zebranie Sekcji Dramatu Warszawskiego Oddziału Związku, poświęcone zagadnieniom współczesnej krytyki teatralnej.

Po zagajeniu przez przewodniczącego zebrania, Jerzego Pomianowskiego, głos zabrał referent, którym był Jan Balicki.

Nawiązując do swego sprawozdania z Sesji Wawelskiej mówca stwierdził, że osiągnięcia krytyki teatralnej w stosunku do wysuniętych wówczas postulatów są, niestety, znikome. Uwagę swoją skoncentrował wokół trzech zasadniczych zagadnień: 1) umiejętność synchronizacji analizy tekstu autorskiego i realizacji teatralnej, 2) zrozumienie współwzajemnej roli teatru w tworzeniu działu scenicznego, 3) stosunek krytyki teatralnej do odbiorcy i kwalifikacje recenzenta.

Uwagi referenta dotyczące pierwszego z wyżej wymienionych zagadnień świadczą o tym, że naczelny postulat wysunięty podczas konferencji wawelskiej nie został spełniony. Krytycy teatralni nawiązują częstokroć do złych tradycji recenzentów przedwojennych, którzy ograniczali się do literackiej analizy utworu, pomijając niemal zupełnie stronę teatralną, widowiskową. Jako przykłady posłużyć tu mogą recenzje z wrocławskiego i krakowskiego przedstawienia sztuki Jarosława Iwaszkiewicza „W Błędmierzu”, recenzje ze

sztuki Ireny Krzywickiej „Dr. Anna Leśna” itp.

Zagadnienie drugie: krytyk teatralny powinien orientować się doskonale w systemie pracy zespołu teatralnego, znać dokładnie pracę reżysera i zliczwać sobie sprawę z jego roli jako ideologa dzieła i współtwórcy ról.

Należy szczególnie wiele uwagi poświęcić reżyserowi, tak niedocenianemu w okresie przedwojennym (Boy). Ważna jest w recenzji ocena oprawy scenicznej i gry aktorów.

Błędem krytyków teatralnych jest zupełny niemal brak kontaktu z czytelnikami. Większość recenzji zamieszcza się w piśmie codziennym, trafiają więc one przeważnie do czytelnika mało przygotowanego, do czytelnika, który niejednokrotnie sztuki nie widział. Należy go zatem zaznajomić nie tylko z treścią sztuki i jej ideologią, lecz również z samym przedstawieniem.

Krytycy piszący w czasopiśmie literackim często stosują formę esaju; powinni z tego zrezygnować na korzyść solidarności i komunikatywności recenzji.

P O REFERACIE Jana Balickiego zawiązała się dyskusja, w której wzięli udział kolejno: Jan Miłzner, Leon Kruczkowski, Roman Szydłowski, Konstanty Ruszczyk, Jerzy Pomianowski, Leon Schiller; dyskusję zamknął Jan Balicki.

Wypowiedzi dyskutantów dotyczyły w większości zagadnień poruszonych w referacie.

Stwierdzono ogólnie, że krytyka teatralna jako pełna i ukształtowana zjawisko kulturalne dotychczas u nas nie istnieje. Świadczy o tym, do pewnego stopnia, fakt przytoczony przez prezesa Kruczkowskiego, że w referacie Henryka Markiewicza o krytyce literackiej w Polsce w latach 1945 — 1951 krytyka teatralna nie jest nawet wspomniana.

Przyczyną takiego stanu rzeczy jest — zdaniem Kruczkowskiego — 1) publicystyczno-dziennikarski charakter recenzji teatralnych, których autorzy związani z czasopismami codziennymi nie mogą uzyskać ciągłości w pracy i jednolitej linii rozwoju, 2) w przeciwieństwie do szeregu specjalizacji obserwowanych w krytyce literackiej, krytyk teatralny musi omawiać zarówno sztuki polskie jak i obce, częstokroć o bardzo różnym charakterze lokalnym; zarówno pozycje współczesne jak i klasyczne, co wymaga znacznie większego wyrobienia i erudycji. Mówiąc o warsztacie krytycznym recenzenta teatralnego zwrócił uwagę na konieczność dokładnej znajomości tekstu drukowanego, której niejednokrotnie brak piszącym.

Sprawę repertuaru, a ściślej mówiąc udziału krytyki w ustalaniu repertuaru teatralnego poruszał Jan Miłzner i Jerzy Pomianowski. Nie wystarczy wyparcie ze sceny szmiry przedwojennej czego dokonano w pierwszych latach po wyzwoleniu, chodzi o stworzenie wartościowego repertuaru, szczególnie komediowego, gdyż występowanie takich sztuk jak „Wesoły pojedynek” czy „Millionowa jakko” świadczy o zaniedbaniu tej dziedziny.

Jan Miłzner poruszył ponadto kwestię niesłuszności polityki redakcyjnej wielu czasopism, które ograniczają swobodę wypowiedzi krytyka, licząc się z własną opinią i opinią o sztuce wytworzoną wśród publiczności. Uważa on za niesłuszne, iż premiery prasowe odbywają się o kilka dni później aniżeli premiery oficjalne i w ten sposób krytycy nie mogą być pierwszymi opiniodawcami o sztuce.

W dyskusji zwracała uwagę swoim tonem, niemal polemicznym, wypowiedź Romana Szydłowskiego. Bpni on recenzentów przed zarzutami referatu twierdząc, że krytyka teatralna w Polsce istnieje i można bez specjalnych trudności wskazać jej linię rozwojową. Kryterium zaś dla weryfikowania kwalifikacji krytyki teatralnej powinno być przede wszystkim jego postawa ideologiczna, nie znajomość teatru. W recenzjach zamieszczanych w piśmie codziennym, przeznaczonych dla najszerszego odbiorcy, ważna jest przede wszystkim ideologiczna analiza dzieła, krytyka ma prawo nawet zdawkowo potraktować wystawę.

Na zebraniu poruszono również kwestię postulatowości krytyki teatralnej, która pod tym względem pozostała daleko w tyle za całością krytyki literackiej, ograniczając się jedynie do rejestracji faktów.

Oto postulaty sformułowane przez Jerzego Pomianowskiego:

- 1) ustalenie kryteriów użytkowej oceny komedii i satyry,
- 2) stosunek do postępowej tradycji w repertuarze klasycznym i w sztukach historycznych. Ustalenie kryterium postępowości. „Nie ma nowego teatru — mówi Pomianowski — bez nowej dramaturgii i zmiany stosunku do dramaturgii”.

Na zakończenie postanowiono, że głosy dyskusji opracowane przez Jana Balickiego zostaną przez niego przekazane na zebranie rozszerzonego plenum Związku Głównego poświęconemu krytyce literackiej w celu uzupełnienia braku w referacie Henryka Markiewicza.

Wanda Wejtko

WIECZORY POD LIPĄ

Mój pomysł racjonalizatorski

G RAFOMAN jest pewną specyficzną odmianą gaduły, czyli — jak mawia lud polski — „melon” (melon — taki co bez przerwy MIELE językiem). Diabli wiedzą, co z dwójga złego jest gorsze: taki wariat, który gada, czy taki, który pisze. Można zapatrywać się na tę sprawę bardzo rozmaicie: gaduła jest niewątpliwie plagą egipską dla ludzi, którzy znajdują w zasięgu działania jego rozlewnej i potocznej elokwencji, ale trudno uważać go za niebezpieczeństwo groźne dla kultury, za jakie niewątpliwie uważać trzeba grafomana.

Tak będą twierdził jedni, inni zaś będą odmiennego zdania. Grafoman może stać się niebezpieczeństwem kulturalnym — powiedzą oni — tylko wtedy, gdy znajdzie wydawcę, który zechce ogłosić drukiem płody jego ducha i czytelników, którzy lubują się w lekturze tego rodzaju. Grafomania nie wychodząca poza stadium rękopiśmiennictwa nie jest groźna społeczeństwu. Można ją traktować jako pewną odmianę snobizmu kultury i z tej racji stawiać nawet wyżej niż — dajmy na to — brydżomanie lub podlane obficie alkoholem i kraszone płotką „życie towarzyskie”. A gaduła? Pomyślcie tylko, że jedziecie w towarzystwie takiego „melona” ze Szczecina do Warszawy, albo, że jest on waszym kolegą biurowym. Na samą myśl o tym można dostać lekkiego napadu wściekłości.

Nie ma atoli argumentu, na który nie znalazłby się jakiś kontrargument. Można jeszcze pomyśleć o odwołaniu się w tej sprawie do decyzji jakiegoś bezporożnego autorytetu, ale gdzie go znaleźć? Król Salomon już nie żyje, a współcześni medrzy są za sprytni na to, aby dać się wciągnąć w tego rodzaju dyskusję.

I ja też nie dam się wciągnąć. Bo i o cóż właściwie się kłócić? Spróbujmy raczej usunąć zło albo przynajmniej ograniczyć jego zasięg. Co zrobić z gadulami? Nie wiem. Może lekarz coś na to wymyśli. Może wynajdą jakiś taki cudowny preparat, który będzie powodował parogodzinny paraliż języka nie wywołując żadnych złych następstw dla zdrowia pacjenta. Wtedy pozostanie już tylko do sporządzenia ewidentnie nadlogowych gadułów i zorganizowania przymusowego szczepienia „na milczenie”. Może nawet wymysłona zostanie jakaś metoda radykalnej kwarantany, jeśli środki dotychczasowe okazały się niewystarczające. Ktoż to wie?

Skoro zbieramy i spożytkowujemy makulaturę, dlaczegoż nie moglibyśmy pomyśleć o racjonalnym wykorzystaniu grafomanii, której owoce zanim jeszcze ujrzą światło dzienne są już przecież makulaturą in potentia?

Przede wszystkim jednak odróżnijmy medyczne pojęcie grafomanii (pewien rodzaj manii czyli specyficznej odmiany błędu) od potocznego. W języku codziennym pojęcie to określa zarówno manię literatury jak i nieopanowaną skłonność do jej tworzenia. W pierwszym wypadku używane jest jako skrót określeń tego rodzaju, co np.: „zła literatura”, „grafomanijska pisnina”, „literatura nie osiągnięta przeciętnego poziomu poprawności artystycznej” lub nawet „literatura, którą ja uważam za lichą”, a więc na oznaczenie zjawisk bardzo rozmaitych. Wyrazem „grafomania” posługujemy się w takich okazach nie tyle jako nazwą, ale raczej jako „przezwą”. Odgrzyca on wtedy rolę słowa-kopniaka, które jest w tym charakterze podwójnie użyteczne: 1) może nam zapamiętać wśród nianych opinie wyrafinowanego estety i głębokiego znawcy sztuki, 2) uwalnia od potrzeby popierania wypowiedziowego sadu argumentami rzeczowymi (no, bo jak grafomania, to grafomania i co tu więcej gadać, skoro nie ma o czym mówić). Zdrocny oszadek zakazuje zachowanie daleko posuniętej ostrożności wobec osób zbyt ochoczo postępujących się ową „przezwą”, gdyż skłonność ta może świadczyć o dość daleko posuniętej manii wielkości, o ile oczywiście nie jest przejawem pospolitej hołsztoplerki intelektualnej.

Z ARÓWNO ściśle medyczne jak i ostatnio omówione znaczenie terminu „grafomania” nie jest dla nas ważne. Zajmiemy się wyłącznie grafomanią jako nadnormalnie rozwiniętą skłonnością do tworzenia literatury artystycznie wątpliwej. Skłonność tę należałoby określić raczej jako maniactwo, a więc coś łagodniejszego niż mania (nasuwająca skojarzenia z pięknie rozwiniętym fiolem na mózgu, szpitalem wariatów itp.). Oczywiście to pojęcie grafomanii nie jest pojęciem logicznie „ostрым”: płyma jest zarówno jego granica górna (linia podziału między

literaturą a „grafomaniactwem”) jak i dolna (dzieliąca „grafomaniactwo” od grafomanii w rozumieniu medycznym). Na pożytek czysto praktyczny wystarczy jednak i ono, jak stara, zdezolowana waga domowa, na której jednak można wyważyć z jaką taką dokładnością odpowiednią ilość maki na placki.

Otóż to „grafomaniactwo”, które nie przeszło jeszcze w manię, podpadającą już wyraźnie pod kompetencje lekarzy chorób umysłowych, można potraktować jak rzekę, co zawiłymi meandrami wiję się przez mazowiecką czy kujawską równinę, rozlewając się w bagniste lachy, zasilałaje swoimi odnogami szkolizno mokradła, przemieniając szeroki obszar ziemi w jedno rozkliste bajoro. Taką rzekę ujmuje się w karby: wynogęza się jej koryto, pogłębia dno, odbiera zagrabione prawem koduka i w teżawiska przemienione legi. I niech później taka rzeka pracuje na ludzi. Niech nawadnia oznaczone terytory, porusza kola młyńskie lub jakies turbiny, czy nawet — jeżeli jest odpowiednio wielka — niech służy jako szlak komunikacyjny.

Ano, ano, powiada ktoś, porównanie całkiem nieczego. W utworach grafomanów istotnie wody cały ocean. Wszystkie kola młyńskie i wszystkie turbiny — jak Polska długa i szeroka — można by nią poruszać. Ale jak tę wodę zmaterjalizować, jak wyciągnąć ją z powieści i wierszy? Kwadratura koła!

Wcale mi nie o to chodziło. Nie jestem zbikowanym pseudowinajaczą, ale trzeźwym, rzeczowym racjonalizatorem. Mój projekt brzmi następująco: podjąć akcję mającą na celu odciągnięcie grafomanów od bezcelowego wysiskania się na krasopisarstwo literackie i skierowanie ich ku faktografii. Badna też to będzie faktografii! — powie ten i ów. Przepraszam, po pierwsze: faktografia nie musi być ludna lecz pożyteczna, po drugie: grafoman to niekompetentny idiota, ale w wielu wypadkach po prostu człowiek o ubogiej inwencji artystycznej lub też niedołąga w zakresie techniki pisarskiej, w zakresie uzdolnień realizacyjnych, jegośmośo o drcwianym uchu, pozbawiony owego „słucha literackiego”, bez którego artyst w prozie nawet, nie mówiąc już o poezji. Wysila się tuki, paci, kombinuje, a co tylko pociągnie piórem po papierze — wychodzi z tego sztam pa, oklepanka literacki obiedruż. Zdanie rozłazi się, obraz mławieje, konstrukcja się rozkleja. Nie, tylko siadaj i płaż.

Toteż niech taki nie próbuje udawać Dostojewskiego czy Courada. Niech mierzy „zamiar wedle sił” i pisze o sprawach, na których się zna, niech swoją ambicję zwróci nie ku podpatrzeniu u Mistrzów pięknu stylu, obwarowania, kompozycji, ale po prostu niech dba o maksymalną komunikatywność swojego zapisu. Rodzaj literacki? Daleczegoż by np. nie pamiętał? Oczywiście nie pamięć tuik jako „liryczna sprawa” — duszy. Nie dlatego, żeby dusza takiego pisarza z Bożej nielaski była mniej ważna lub mniej ciekawa od jakiejkolwiek innej duszy, ale dlatego, że tę sprawęż zamazze on niedolną a zanieczysz pretensjonalną stylizacją, zapaprze kłepską literackością i przez to zniweczy jej walor dokumentu.

Inu mniej literatury w takim pamiętunku, tym lepiej. Niech to będzie zwykły dziarusz, captularz, notatnik, silva rerum, kronika całego życia lub jego pewnych fragmentów. Nie żadna próba rywalizowania ze św. Augustynem czy Janem Jakubem Rousseau, ale po prostu fakty, fakty, fakty. Inni je już tanj odpowiednio obrabiają, przeczynają, skomentują, wykorzystują jako materiał dla historii obywatelowej czy innych dziesięć dziedzin wiedzy.

Niechjy ktoś opisał np. swój okres zdobywania kwalifikacji zawodowych, inny zbud swoje dule i niedole sportowca, urzędnika, lekarza. Ten — wczasy na Dolnym Śląsku, tamten znw — prace przy budowie metra. Nie zaszkodziłoby nawet, gdyby znalazł się taki, który zechciałby zostać kronikarzem życia jednej kamienicy lub też spisywał dzieła po dniu wszystkie swoje przeżycia, spostrzeżenia, notował rozmowy, jakie prowadził z rozmaitymi ludźmi itd.

Tworzenie arcydzieł zostawmy artystom wielkiej miary. Zamiast zaś powtarzać i przedrzeźniać ich, spróbujmy zwoić swoje siły w kierunku pomnożenia naszej wiedzy o faktach życia codziennego. Parostoinowcy, dokładny i stranny opis jakiegos realnego faktu więcej jest wart i prędzej zwróci uwagę niż trzysta stronie skradzionych Siemkiewiczowi a napisanych stylem Mniskówny.

Bogumił Kolec

W TROSCE O TRADYCJĘ WERSYFIKACJI

A MBITNA książka Adama Ważyka („Mickiewicz i wersyfikacja narodowa” Czytelnik 1951) po służyła za temat dla kolejnym posiedzeniu Sekcji Prozy Warszawskiego Związku Literatów Polskich.

Dyskusję o tradycjach wersyfikacji polskiej, w dn. 16 stycznia br., zagajal sam autor wspomnianej książki. Ponieważ referent opierał się zasadniczo na swojej ostatniej pracy, wolno będzie pomocniczo odwoływać się w tym sprawozdaniu do niektórych poglądów, którym Ważyk dał już wyraz w druku — „Tradycja narodowa — twierdzi on — jest niezym innym jak zobiektywizowanym społecznym doświadczeniem emocjonalnej funkcji poszczególnych form wersyfikacyjnych”. Wersyfikację warunkuje język, zdaniem więc Ważyka samo bogactwo form nie świadczy o przewadze jakiegoś poety czy nawet okresu literackiego nad innymi. To upoważnia do pewnego wyłączenia spod rozważań poetyk formalistycznych. Ważyk widzi trzy zasadnicze sześcioletnie tradycje poetyckiej: poezję staropolską, oświeceniową oraz architektonikę Mickiewicza.

W okresie młodopolskim widzi zmierzcz naszej tradycji wersyfikacyjnej, przykładem będzie tu choćby częsta sprzeczność intonacji z układem wierszowym.

Nawiązując do potrzeb nowej poezji, utrzymuje Ważyk, iż przemijowanie formy wraz z ideologią jest potrzebne a nawet konieczne dla zaktywizowania idei. Stąd słusznie dostrzega naderwanie więzi z tradycją w niepokojącym u nas obecnie zaniedbaniu form regularnych. Podkreśla również niedomagania naszej krytyki literackiej, często elektycznej, w której nie trudno spestrzec zlepek niemal wszystkich poetyk.

Ostatnią część referatu poświęcił Ważyk sprawie przekładów poetyckich. Występuje on tu ostro przeciw formalistycznym poglądom na te zagadnienia. Jest zdania, że przy tłumaczeniu nie wolno poecie odrywać się od narodowej tradycji, nie wolno mu pozwolić sobie w przekładach na rzeczy, których by nie zaryzykował w utworze oryginalnym. W konsekwencji — usprawiedliwione być tu może nawet przerwanie rytmu oryginalnego. Należy uwzględnić formę polską, wersyfikację narodową na tle formy narodowej tłumaczonego poety — Przypomina się zwłaszcza problem rymów męskich w przekładach z rosyjskiego, zagadnienie, któremu Ważyk poświęcił już dawniej osobne rozważania (por. w tomie „W stronę humanizmu”). — Postulaty Ważyka są szczególnie cenne, jeśli chodzi o tłumaczenie poetów współczesnych

„...Tłumacząc poetów współczesnych — znowu posługuję się sformułowaniem z książki — wypada brać pod uwagę obyczaj rymotwórczy danego poety ra tle systemu narodowego; ale stosować należy budowę rymu właściwą naszemu systemowi, a nie budowę języka oryginalu”.

NASTĘPNE zebranie, 30 stycznia, poświęcone było omówieniu samej książki Ważyka, które zagajal prof. Stefan Żółkiewski. Referat w znacznej mierze streszczający tezy Ważyka, akcentował specjalnie — jak to sam prof. Żółkiewski podkreślił — to, co obchodzi raczej badacza literatury niż poeę. I tak, interesuje referenta przede wszystkim pionierskość imponująco inteligentnej, nacechowanej subtelną obserwacją pracy Ważyka. Jej nowatorstwo metodologiczne polega na ścisłym powiązaniu formalnej analizy wierszy z ich analizą ideową, te same bowiem prawa spadku i wzrostu ideowego rządzą literaturą, co i wersyfikacją. Dotychczasowi zaś badacze wersyfikacji wnieśli wiele cennych obserwacji, ale prace ich rozpatrują zagadnienie w oderwaniu od życia społecznego, a nawet — często — w oderwaniu od historii literatury. Prowadziło to do krańcowo historycznych twierdzeń burżuazyjnych o „jednym potoku w rozwoju literatury”, do przekonania, że „im dalej — tym lepiej”. — Na tym tle za wyjątkowo trafny uważa prof. Żółkiewski dokonany przez Ważyka wybór tradycji, jego orientację na Mickiewicza.

Najciekawszym głosem w ubogiej na ogół dyskusji były uwagi p. Sarneckiego. Stawia on książkę Ważyka zarzut, iż — wbrew obiecującemu tytułowi — właściwie nie dał w niej autor odpowiedzi na nierozstrzygnięte dotąd pytanie, czym jest wersyfikacja narodowa. Następnie opierając się na swoich badaniach fonetycznych, twierdzi p. Sarnecki, że stanowczo należy odrzucić akcent jako element rytmu. Akcent stanowi wyłącznie o natężeniu. Janina Preger nie bez racji „upomniała się” o Norwida.

Jedno jeszcze spostrzeżenie z omówionych w skrócie zebrań Sekcji Poezji. Sądząc po anemicznej dyskusji na pierwszym z nich, wielu — zwłaszcza młodym — literatom brak nie raz elementarnych wiadomości z tak zwanej teorii literatury, a mimo to, jeśli wnioskować ze słabej frekwencji na zebraniach, nie chcą oni widocznie zainteresować się tymi sprawami. W dniu referatu prof. Żółkiewskiego można było zauważyć na sali więcej studentów-gości, aniżeli „gospodarzy” — członków Z.L.P.!

(abe)

Konstanty OLESZKIEWICZ

WODA SODOWA

W KRAKOWSKIM handelku siedzi dwóch emerytowanych urzędników: radca i nadradca. Nudzą się, tęsknią za biurem i urzędowaniem wspominają dawne czasy i omawiają aktualne, pozbawione emocji "ycie."

— Do pewnego stopnia poradziłem sobie — powiada radca. — Żona moja wciąż potrzebuje pieniędzy, to na bułki, to na kartofle, to na krawcową. W każdym takim wypadku

ta jednak, że był pan moim podwładnym. Może by pan zechciał te podania i swoje decyzje przynosić mi do akceptacji.

Taką antybiurokratyczną anegdotkę opowiadał sobie po pierwszej wojnie światowej. Już wówczas bowiem narzekano na biurokrację.

Nie sięgałem do encyklopedii, aby sprawdzić określenie wyrazu „biurokracja”. Raczej pytałem różnych inteligentów, przeważnie otrzymując odpowiedź, że jest to przerost formy nad treścią. Jeżeli nawet uzupełniłoby to określenie przez „genus proximum” — a więc przerost formy nad treścią w zarządzaniu państwem, to i tak definicja taka wydaje się niewystarczająca. Bo skąd można wiedzieć, kiedy forma pozostaje we właściwych niezbędnym rozmiarach, a kiedy zaczyna przerażać? Każda forma do pewnego stopnia ogranicza, jest pewną przeszkodą w swobodnym postępowaniu, uwiera jak mały gwoździak w butcie — czy to będzie kwestia przechodzenia ulicy po prostym kątem (formalizm, psakrew! sam zapłaciłem kiedyś mandat karny — pięćdziesiąt złotych w dawnej walucie), czy termin zaskar-

żenia wyroku, czy terminowe sporządzanie planów produkcyjnych. Zresztą, nie sądzę, aby kwestia stosunku formy do treści była tutaj istotna. W każdym uporządkowanym ustroju istnieją przepisy nie tylko materialne, ale i formalne i bez tych formalnych przepisów nie mogłoby żaden ustrój istnieć. A przecież nie każdy ustrój jest biurokratyczny.

Za przykładem uczonego profesora Utińskiego (Obszczejce uczenie o dożnostnych przestąpieniach, Moskwa, 1948) rozdzielił pojęcia biurokracji i biurokratyzmu. Biurokracja jest instytucją prawno-społeczną, jest takim „ustrojem”, przy którym duża część władzy faktycznie spoczywa na nieodpowiedzialnej warstwie urzędników. Politycy, którzy rządzą nominalnie, odchodzą zwykle po krótkim urzędowaniu i w rzeczywistości władzy nie sprawują. Utiński uważa tę instytucję biurokracji za charakterystyczną dla kapitalizmu, mnie osobiście wydaje się, że istniała ona i wcześniej, w każdym bądź razie już w monarchii absolutnej, a może i jeszcze dawniej. Biurokratyzm zaś jest sposobem pracy urzędników, którego charakterystyczną cechą stanowi przewlekłość, nieodpowiedzialność urzędników, robota papierkowa a nie życiowa. To, co nazywamy biurokracją w potocznym ujęciu i na co wszyscy narzekamy, jest właśnie biurokratyzmem.)

Tyle w najogólniejszym skrócie o rozróżnieniach terminologicznych. Założymy, że z ustaniem kapitalizmu skończy się powoli także biurokracja. Jest to związane z burzeniem dawnego, kapitalistycznego aparatu administracyjnego. Czy skończy się biurokratyzm?

Walka z biurokratami trwa nie od dziś. Wielkimi wodzami w tej walce byli Gogol i Sołtykow-Szczedrin w Rosji, Dickens w Anglii, a każda chyba literatura ma na tym polu swoich bojowników. I Tuwinowi należy się order za jego projekt ustawy o Państwowym Urzędzie Rejestracji Snów („P.U.R.S.“). Ale i teraz prasa często narzeka na biurokratów. Walka trwa. Z jednej strony ataku-

je się biurokratów za nadmiar poczucia władzy i wielkości, z drugiej — za bezczynność, za trzymanie się kurczowo nieżyjących przepisów, a zwłaszcza za przewlekłość w załatwianiu spraw.

Nie staram się zagadnienia wyczerpać ani zbudować teorii. Rzucam tylko myśli, jak cegiełki (tzw. ciężkie myśli), a może któraś z tych cegiełek trafi w czyjeś okno. Może jakiś kompetentny racjonalizator w dziedzinie socjologii, psychologii czy prawa użyje je do jakiejś mądrej konstrukcji.

WYDAJE mi się, że najbardziej dokuźliwie w stosunku biurokratów do zwykłych, nieuprzywilejowanych śmiertelników — są dwa momenty. Pierwszym jest — przewlekłość w załatwianiu spraw, drugim wynikająca z nadmiaru poczucia wła-

dy niedostępność, surowość i okazywanie własnej wielkości.

Skąd wynika przewlekłość spraw? Niewątpliwie stąd, że urzędnik-biurokrata obawia się wziąć na siebie odpowiedzialność za załatwienie każdej trudniejszej sprawy. Dla niego najpierw zbiera opinie ustne, potem żąda opinii pisemnej, później prosi o kontrasygnatę, wreszcie stara się przerzucić sprawę do załatwienia innemu urzędnikowi lub innemu urzędowi. Jest to „szyber administracyjny” — plaga dobrze znana tym, którzy mieli jakkolwiek styczność z urzędami. Biurokrata lubi też stosować „milczenie administracyjne” — drugą plagę patentów i klientów, po prostu nie odpowiada na żadne pisma, dopóki mu nie dopieczy jakiś czynnik kontrolujący. Jeżeli zaś już zły los go zmusi do wydania decyzji — to będzie ona obstawiona tylu podpisami, adnotacjami, opiniami, zaleceniami i wyjaśnieniami, że 1° — zebranie tego materiału zabierze moc czasu i czasem nawet sprawę przestanie być aktualna, 2° — odpowiedzialność za tę decyzję rozproszkuje się między komplet innych referentów, naczelników, radców i doradców, tak że na właściwego referenta spadnie tylko jeden rozbity (zgodnie z najnowszymi odkryciami nauki biurokratycznej) atom tej odpowiedzialności. Quod erat demonstrandum.

Sądzę, że ta ucieczka od odpowiedzialności jest jedną z najpoważniejszych podstaw biurokratyzmu i najwybitniejszą cechą biurokracji. Typowym przykładem przerzucenia odpowiedzialności jest praktyka sądowego dochodzenia nieosiągalnych wierzytelności. Każda niemal buchalteria jest „zanieczyszczona” sumami, należnymi od różnych osób. Sumy te zwłaszcza gdy chodzi o odškodowania należne od prywatnych osób, często przerastają ich możliwości płatnicze. Mimo to należy — zgodnie z przyjętą praktyką — wytoczyć sprawę sądową, opłacić koszty sądowe i egzecucyjne, aby wreszcie komornik sądowy stwierdził, że należność jest nieosiągalna. Wówczas można ją „odpisać na straty”. Taka praktyka wcale nie jest tania i z reguły powiększa już istniejące straty materialne instytucji. Ale biurokrata uniknął odpowiedzialności — przerzucił ją na sędziego, na komornika, a teraz siedzi bezpiecznie schowany za nimi.

Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że władza uderza do głowy — jest to problem t.zw. „wody sodowej”. Pan, który zasiadł za biurkiem — nie koniecznie dyrektora czy jakiegoś naczelnika wydziału — ale chociażby referenta, byle nań kapnęła cząstka władzy, byle od niego zależało nadanie lub nienadanie „biegu”, jakimś wnioskowi — istotnie urasta do rozmiarów nadczłowieka. Jest podchmielony, później już upojony władzą. W ostrzejszych przypadkach zjawia się stan opilstwa, zatrucie organizmu i delirium tremens. Chory odgania białe myszki zamachów na jego władzę, skargę na jego czynności uważa za osobistą obrazę i niejednokrotnie w tym stadium przestaje się liczyć z jakimikolwiek przepisami. Po prostu przerósł przepisy. Jest to zagadnienie dla psychologa, psychiatry lub prokuratora, zależnie od objawów choroby.

Nierzadką cechą tego rodzaju wielkich ludzi jest brak wyrozumiałości, surowość, ostryść, żeby już nie użyć wyrazu okrucieństwo. Można to zrozumieć u ludzi upojonych władzą, ale jednak jest to niezdolność i dla zwykłych śmiertelników-petentów i dla podwładnych wielkiego człowieka i czasem nawet dla jego przełożonych, którzy go mogą zlikwidować. Bo surowość i okrucieństwo raczej nie poplaccją i przypuszczam, że nawet cesarz Neron, gdyby nie popełnił samobójstwa, teraz byłby z pewnością na emeryturze.

I siedziałby może w krakowskim handelku, podpisując Tygellinowi decyzje wyplaty zaliczek na bułki z masłem.

Mam nadzieję, że w okresie służby walczy naszych władz państwowych z wszelkimi przejawami biurokracji, mój skromny „szkiełkowy” może mieć znaczenie w tym względzie.

Konstanty Oleszkiewicz

P.S. Nie pisałem tego wszystkiego z myślą o Panu. Panie Naczelniku, ani o Panu, Panie Dyrektorze. Toteż proszę się nie obrażać i nie brać tego osobiście do siebie. Ja tylko tak, bezosobowo. K.O.



wymagam od niej, aby złożyła podanie na piśmie w godzinach urzędowych, rozpatruję to podanie i piszę na nim decyzję: „Udzielę zaliczki”, albo „odmówi z braku kredytów”. Nazajutrz żona zgłasza się po decyzję, którą jej wydaje również na piśmie.

— Pięknie, panie kolego — odpowiada nadradca. — Niech pan pamię-

Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

PROGRAM koncertu symfonicznego, który odbył się dnia 1 lutego b.r. (powtórzenie 3 lutego), obiał dzieła o najwyższej wartości artystycznej. Rozpoczęła go pełna dramatycznego napięcia uwertura Beethovena „Egmont”, dzieło niezwykle skoncentrowane i wymagające dużej precyzji wykonania. Naśladując Wilhelma Furtwänglera, dyrygenta przejawiającego zazwyczaj efekty dynamiczne tego utworu, przedłużając pauzy itp. Efektowność takiej (przynajmniej trzeba, że często porównawczej) interpretacji graniczy nieraz z... efekciarstwem, obcym przecież najzupełniej duchowi muzyki beethovenowskiej. Koncepcja odtwórcza Witolda Rowickiego poszła po linii odbiegającej od zwyczajnego szablonu. Oszczędny, a równocześnie sugestywny dyrygent umiał narzucić orkiestrze umiar i powściągliwość, rzadko na ogół spotykana w interpretowaniu dzieł Beethovena.

Atmosfera klasycznej powściągliwości i umiaru unosiła się nad całym koncertem. Także i solistka, Stefania Woytowicz (sopran), śpiewaczka o doskonałym wyszkoleniu i pięknym głosie, ustrzegła się przed zbyt- — choć modnym obecnie — „romantyzowaniem” Mozarta. Obok dwóch arii z mozartowskiego „Wesela Figara”, Stefania Woytowicz wykonała też arię z opery „Amadigi” Haendla. Szkoda, że słuchacze nie mieli możliwości wysłuchania w jej wykonaniu zapowiadanej w programie arii z „Pasji św. Mateusza” J. S. Bacha. Przeszkody, związane z wykonaniem niezwykle trudnych arii Mozarta pokonała Stefania Woytowicz zwycięsko, władając głosem swobodnie i pewnie. Tak samo zwyciężyła „oddechowe” trudności, wynikające z instrumentalnego niemal prowadzenia głosu w arii Haendla.

Orkiestra, słabsza w akompaniamentach, brzmiała w pozostałych utworach koncertu bardzo dobrze. A że zarówno nadmiar superlatywów jak i krytyki jest w recenzjach zawsze mocno podejrzany, wypada — niejako z „obowiązku dziennikarskiego” — zwrócić uwagę na parę nieznanych „kiksów” blachy.

Wykonanie pierwszej symfonii Brahmsa (c-moll, op. 68), to problem niezwykle trudny i poważny zarówno dla dyrygenta jak i dla orkiestry. I w tym jednak wypadku został on rozwiązany trafnie. Wydobyte zostały cechy charakterystyczne poszczególnych części symfonii, do której Brahms tak wielką przywiązywał wagę, że komponował ją — uzupełniając i retuszując — przez lat kilkanaście. Dzieło to cechuje rywalizacja dwóch odrębnych, kontrastujących pierwiastków: ponurego, nęznego bolesnej melancholii pesymizmu oraz — odnoszącego zaciętość zwycięstwa radosnego i ufego w swe siły optymizmu. Skłonny do ulegania nastrojom ponurej rezygnacji, Brahms potrafił je przezwyciężyć i zakończył swą symfonię — po raz pierwszy wykonaną w roku 1876 — pełnym wspaniałej dynamiki „hymnem do radości”.

Wypada tu przytoczyć pewną charakterystyczną anegdotę („se non è vero...”) tym bardziej, że w interpretacji autora „Programu” Filharmonii jest ona zupełnie niezrozumiała. Otóż do jednego z znanych zwrócił się Brahms z zapytaniem, jak mu się podoba jego pierwsza symfonia. „Bardzo, mistrzu — odpowiedział zakłopotany rozmówca — lecz, hm, jak by to powiedzieć, temat w IV-tej części nieco przypomina Beethovena!” Zniecierpliwiony Brahms odburknął: „Nie o to chodzi! To każdy dureń zauważy!” Trudno się dziwić szorstkości Brahmsa, skoro się zważy, iż rzeczywistość nie o osławioną „wpływologię” chodzi, lecz o to, że Brahms uważał się za kontynuatora i spadkobiercę klasyków, w pierwszym rzędzie Beethovena. Od niego to głównie przejął decydujące cechy swego tworzywa: bogactwo melodii i rytmiki, prostotę i przejrzystość konstrukcji, ekspresyjność i podporządkowanie pierwiastka harmonicznego mistrzowsko opanowanemu kontrapunktu, którego nadużywanie niejednokrotnie mu zarzucano. Przeciwdziałając się neoromantyzmowi — przede wszystkim Wagnerowi i Lisztowi — Brahms pozostał wierny formie sonatowej, niezmiernie precyzyjnie opracowywał każdy temat i unikał jaskrawych efektów instrumentalnych. Toteż dla słuchaczy, przyzwyczajonych do orkiestrowej kolorystyki Berliozą czy Rmskij-Korsakowa, orkiestra Brahmsa brzmi jak gdyby „matowo”, bszbarwnie; rezultat to także i tego, że lubiał on wzmacniać brzmienie smyczków przy pomocy „blachy” (głównie rogów), co odbiera smyczkom jasność dźwiękowego kolorytu.

Witold Rowicki potrafił nadać dziełu właściwy charakter — pełnego skupienia i refleksji wyrazu myśli i ująć kompozytora, który rzadko spotykana głębię artystycznego przeżycia umiał połączyć z doskonałością i przejrzystością formy.

Ostatni koncert Warszawskiej Filharmonii zarówno pod względem wykonania, jak i trafnie dobranego programu jest jednym z najlepszych koncertów symfonicznych w bieżącym sezonie muzycznym.

Czesław Krzewski



je się biurokratów za nadmiar poczucia władzy i wielkości, z drugiej — za bezczynność, za trzymanie się kurczowo nieżyjących przepisów, a zwłaszcza za przewlekłość w załatwianiu spraw.

Nie staram się zagadnienia wyczerpać ani zbudować teorii. Rzucam tylko myśli, jak cegiełki (tzw. ciężkie myśli), a może któraś z tych cegiełek trafi w czyjeś okno. Może jakiś kompetentny racjonalizator w dziedzinie socjologii, psychologii czy prawa użyje je do jakiejś mądrej konstrukcji.

WYDAJE mi się, że najbardziej dokuźliwie w stosunku biurokratów do zwykłych, nieuprzywilejowanych śmiertelników — są dwa momenty. Pierwszym jest — przewlekłość w załatwianiu spraw, drugim wynikająca z nadmiaru poczucia wła-

- Interesujące jest wyliczenie przez Utińskiego cech charakterystycznych biurokracji, oparte na wypowiedziach Marska, Engelsa i Lenina i częściowo samego autora. Są to cechy następujące:
 - biurokracja grupuje specjalną warstwę („osobył stan”) ludzi, dzierżącą władzę i wyspecjalizowaną w rządzeniu,
 - przekształcenie państwa i jego organów ze służby społeczeństwa w panowanie nad społeczeństwem,
 - reżim biurokratyczny wyklucza samorząd organów miejscowych,
 - biurokracja stara się wszystko poddać swolę kontroli i oblać nią wszystkie, zdawało by się nawet najbardziej dla władzy państwowej obojętne, przelawy życia obywateli, reklamować ich każdy krok, ewidencjonować wszystkich i wszystko,
 - prawne i faktyczne uprzywilejowanie stanu urzędniczego (swelkuty, wysokie wynagrodzenia, ulgi, stabilizacja, nieodpowiedzialność brak szarych),
 - wsteczność — z wyjątkiem okresu przedkapitalistycznego.



pro Crochu
Z polityki
OBER ALLES...

Prezydent Republiki Heuss, kanclerz Adenauer i przedstawiciele trzech Włoskich Komisarzy zachodnich wzięli udział w uroczystej inauguracji „Konstytucyjnej Izby Związkowej” najwyższego organu prawnego Niemiec Zachodnich

Minister Sprawiedliwości Dahler wycofwał „ten organ niezależny stojący ponad partiami i wszelkimi kierkami politycznymi”

Pierwszą sprawą rozpatrywaną przez Izbę będzie na żądanie rządu, zakaz działania partii komunistycznej.

ICH „KONSTITUCJA”

Organ urzędowy w Ammanie (Jordania) opublikował nowy projekt Konstytucji „demokratycznej”.

Zgodnie z tym projektem władza wykonawcza będzie w ręku króla, prezes ministrów będzie mianowany przez króla i Senat będzie zatwierdzany przez króla.



W ramach walki (teoretycznej) — przekupstwem i „bokczyszem” — projekt przewiduje, że „ministrom pełniącym swe funkcje nie wolno będzie kupować majątków państwowych i brać udziału w przedsiębiorstwach handlowych”

Czy jednak taka Konstytucja uratuje demokrację i uczciwość w Jordani?

WART PAC PALACA

W związku z ukonstytuowaniem się nowego Rządu we Francji z Edgarem Faure na czele. „Action” podaje takie charakterystyki nowego premiera: „Edgar Faure jest ztrycznym parlamentarzystą. Młody, elokwentny, uchodzi za najzdolniejszego ucznia H. Queuille, uznanego mistrza pod tym względem.

Kandydatem swoją przyjął pod warunkiem, że w końcu będzie mógł zrealizować śmiały program”. Skromnie oświadczył: „Moim wzorem będzie Raymond Poincaré”.



P. Edgar Faure jest przyjacielem wszystkich. Nie mówi nigdy „nie”, ale postępuje zawsze według swego uznania... „W rzeczywistości — powiedział Daladier — Edgar nie ma nic wspólnego z Poincaré — przede wszystkim jest złośliwy jak matka”.